

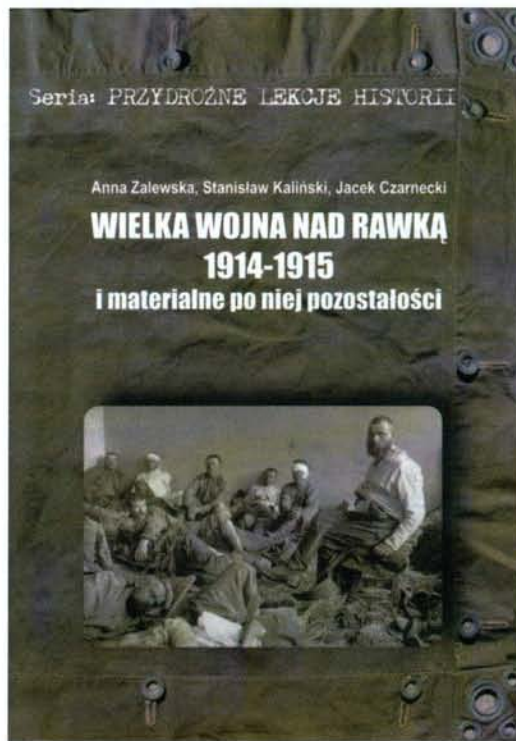
Dariusz Andruszkiewicz
(Warszawa)

Anna Zalewska, Stanisław Kaliński, Jacek Czarnecki, Wielka Wojna nad Rawką 1914-1915 i materialne po niej pozostałości, Instytut Archeologii i Etnologii PAN, Warszawa 2014, ss. 84.

Przedmiotem niniejszej recenzji jest praca autorstwa Anny Zalewskiej, Stanisława Kalińskiego i Jacka Czarneckiego zatytułowana „Wielka Wojna nad Rawką 1914-1915 i materialne po niej pozostałości”. Opublikował ją Instytut Archeologii i Etnologii (IAE) Polskiej Akademii Nauk (PAN) w Warszawie w 2014 r. Stosowna adnotacja, zamieszczona tak jak pozostałe istotne dane dopiero na ostatniej stronie, głosi, iż obyło się to pod patronatem komisji wydawniczej IAE PAN, której przewodniczył profesor PAN dr hab. Andrzej Janeczek, a w jej skład weszło aż ośmiu polskich uczonych: prof. dr hab. Mirosława Drozd-Piasecka, dr hab. Dariusz Główka prof. PAN, mgr Tomasz Herbich, prof. dr hab. Andrzej Klonder, dr hab. Jolanta Kowalska prof. PAN, dr Małgorzata Mogielnicka-Urban, dr hab. Zofia Sulgostowska prof. PAN, prof. dr hab. Witold Świętosławski. Finansowego wsparcia publikacji udzieliła Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej z siedzibą w Warszawie, reprezentowana przez dwóch dyrektorów: Krzysztofa Mischacza i Corneliusa Ochmanna. Już z okładki można się dowiedzieć, że w dalszej perspektywie czasu pojawią się niestety kolejne podobne prace, gdyż ta ukazała się jako pilot serii pod nazwą: „Przydrożne Lekcje Historii”.

Praca została wydrukowana barwnie na papierze kredowanym i oprawiona w formie broszury, tworząc zeszyt o formacie B5 zawierający 84 strony wewnątrz sztywnej okładki, gdzie oprócz tekstu znajdują się: 118 fotografii, 4 rysunki i 3 mapki. Ilustracje na ogół otrzymały

podpisy, należy jednak wskazać brak takowych dla fotografii na ss. 17, 32, 35, 37, 43, 72, jak również nieopisane zdjęcie na frontowej stronie okładki. Treść podzielono na cztery rozdziały opatrzone posłowiem autorstwa Anny Zalewskiej, dodając ponadto streszczenia w językach angielskim i niemieckim, bardzo skromną bibliografię oraz spis treści. Nie wskazano autorów poszczególnych rozdziałów, wobec czego należy przyjąć, że na ich treści oraz stylistyce ciąży odpowiedzialność zbiorowa.



Rozdział I „Wielka Wojna”

Tekst ten zapewne miał na celu przybliżenie tła tematu publikacji i objaśnienie czytelnikowi, jak w ogóle doszło do tego konfliktu zbrojnego, pierwszego w naszej historii rozwiniętego na skalę globalną. Jego treść jest jednak polemiką przeplataną z wnioskami wyciągniętymi przez autorów, skąpo popartymi faktami historycznymi. Narrator miesza je i wręcz zmienia, tworząc przez to zupełnie nową, niekiedy fałszywą historię.

Już w pierwszych zdaniach (s. 2) autorzy niejasno informują, że tłem wojny było pojawienie się dwóch grup sojuszników, zamiast wyjaśnić krótko, iż owocem narastających w drugiej połowie XIX w. sprzeczności interesów politycznych czołowych potęg europejskich było zawiązanie się dwóch przeciwstawnych bloków militarnych. Nie podano daty utworzenia pierwszego z tych bloków, czyli paktu dwustronnego zawartego pomiędzy Cesarstwem Niemieckim i monarchią austro-węgierską w 1879 r., natomiast wskazano rok 1892 jako datę porozumienia zawiązanego pomiędzy ich przeciwnikami. Pomijając przyczynę faworyzowania przez autorów tego akurat sojuszu, warto przypomnieć, że ta data wiąże się tylko z obopólną akceptacją intencji wojskowego współdziałania i jego zakresu. Formalny sojusz połączył Francję i Cesarstwo Rosyjskie dopiero w 1893 r., kiedy to stosowną konwencję ratyfikowały rządy obu państw.

Na sąsiedniej stronie (s. 3), jeszcze przed opisem wybuchu wojny, autorzy już podsumowali jej rezultaty. Słusznie zauważyli, że skutkowała ona radykalnymi zmianami społecznymi, politycznymi i gospodarczymi, ale zupełnie nie wiadomo dlaczego też technologicznymi i krajobrazowymi. Można domniemywać, iż nie znają oni różnicy pomiędzy pojęciami „technologia” i „technika”, jak też nie dostrzegają granicy pomiędzy skalą lokalną i globalną. Krajobraz kształtują przede wszystkim siły natury (procesy geologiczne oraz przemiany flory i fauny), a w dalszej kolejności działalność człowieka. O ile wyżej wymienione zmiany miały zasięg – jak cała wojna – globalny, i jak ona sama – radykalny, to zniszczenia i twórczość inżynierska wywołane

działaniami wojennymi w żaden sposób nie poczyniły globalnych zmian w ziemskim krajobrazie, a te lokalne stopniowo były i są odwracane siłami natury oraz działaniami człowieka.

W kolejnych zdaniach autorzy przywołują słynny incydent, jaki miał miejsce w Sarajewie 28 czerwca 1914 r., natychmiast wykorzystany do zainicjowania zbrojnego konfliktu Austro-Węgier z Serbią, tylko z pozoru lokalnego, lecz przewidzianego do kontrolowanej eskalacji, bo wkraczającego w sieć istniejących wówczas sojuszy. Autorzy piszą, że zamachowiec Gavrilo Princip zastrzelił tego dnia austro-węgierską parę książęcą z *rewolweru*, podczas gdy wiadomym jest, iż posłużył się pistoletem produkcji belgijskiej FN Browning wz. 1910/12. Narzędzie tego mordu można oglądać w wiedeńskim Wojskowym Muzeum Historycznym (*Heeresgeschichtliche Museum – Militärhistorische Institut in Wien*). Nieprawdziwe są także podane przez autorów informacje, że był on Serbem i należał do organizacji „Czarna Ręka”. W rzeczywistości był bowiem Bośniakiem, należącym do proserbskiej bośniackiej organizacji „Młoda Bośnia”.

W następnym akapicie możemy przeczytać o narastającym u cesarza Wilhelma II poczuciu osaczenia Niemiec przez Francję i Anglię, jeśli chodzi o próby rozszerzenia wpływów kolonialnych, co spowodowało, iż *plan ataku na Francję powstał już w 1905 roku*. W rzeczywistości szef Sztabu Generalnego gen. płk Alfred Schlieffen swoje studia rozpoczął w 1895 r., a plan operacji gotowy był cztery lata później. Błędem autorów jest również twierdzenie, że Anglicy wysłali swój korpus ekspedycyjny *na ratunek Francji*. Faktycznie uczynili tak z powodu naruszenia neutralności Belgii i walczyli w pierwszych dniach wojny u boku Belgów w bitwie o miasto Mons 23-24 sierpnia 1914 r. Gdyby jednak autorzy mieli na myśli dalszy etap wojny i wspieranie w niej Francji, mowa wyłącznie o siłach brytyjskich myliłoby czytelnika, gdyż na tamtejszym froncie pojawiły się jeszcze korpusy posiłkowe kilku innych państw.

W ostatnim zdaniu rozdziału czytamy o przekształceniu konfliktu europejskiego w ogólnoswiatowy z *racji kolonialnych powiązań liderów*.

Interpretacja autorów daleko odbiega od faktów historycznych. Otóż monarchie były spowinowaczone przez rodziny (o czym zresztą wspominają), a nie przez kolonie, które stanowiły obiekt rywalizacji nawet pomimo powiązań sojuszniczych. Jeśli do owych liderów wojny światowej zaliczyć carską Rosję i Austro-Węgry, to akurat te państwa kolonii nie posiadały, a uczestniczące w wojnie mocarstwa z innych kontynentów (Stany Zjednoczone Ameryki i Japonia) nie należały z kolei do kolonialnych państw europejskich. Oprócz tego typu mylących wywodów autorzy nie zadali sobie nawet trudu, by choć wspomnieć, ile państw uczestniczyło w I wojnie światowej.

Na s. 4 pojawia się podrozdział pierwszego rozdziału pt. „Front Wschodni”, którego o dziwo brak w spisie treści broszury (s. 83). Jego tytuł nie jest adekwatny do zawartej w nim treści, obejmującej wyłącznie wybrane epizody działań wojennych z udziałem Rosji, do tego wybiórczo, nieprecyzyjnie i nierzetelnie. Podrozdział ten nie zawiera opisu procesu ukształtowania się frontu wschodniego, o którym jest mowa w tytule (choćby w formie kalendarium) – stanowiąc jedynie kompilację wyrwanych z kontekstu wydarzeń, na dodatek przemieszanych ze sobą. Autorzy nie zadali sobie trudu wykreślenia przebiegu linii frontu, ograniczając się do przedrukowania mapki z przedwojennego wydawnictwa niemieckiego¹. Widnieje na niej oryginalny opis informujący o położeniu 10 stycznia 1915 r. wyłącznie w pasie działania niemieckiej 9. Armii. Z kolei autorzy mapkę tę opisali jako *Przebieg linii frontu na terenie Królestwa Polskiego w lutym 1915 roku*. Zupełnie została pominięta obecność na tym froncie armii Austro-Węgier.

Uwagę przykuwa informacja autorów, że na prośbę Francji *armia cara już 16 sierpnia 1914, uderzyła na teren Prus Wschodnich. Powstał w ten sposób front, określany jako wschodni, który zmusił Niemców do podziału sił* (s. 4). Można domniemywać, że mając na myśli wkroczenie wojsk rosyjskich na tę część niemieckiego terytorium, nie do końca właściwie je zinterpretowali.

Co gorsza, zupełnie nie rozumieją, że *de facto* tzw. front wschodni pojawił się wiele lat wcześniej, bo istniał od momentu powstania niemieckich i austro-węgierskich planów wojny na wschodzie (które od razu przewidywały podział sił własnych na różne teatry działań wojennych), a fizycznie front zaistniał już pomiędzy 1 a 5 sierpnia tj. w dniach ogłoszenia przez te państwa stanu wojny z Cesarstwem Rosyjskim. Oprócz tego zauważalne są trudności z dostosowaniem sugerowanej daty *uderzenia na teren* do faktów. Siły rosyjskiej kawalerii penetrowały Prusy Wschodnie już od 3 sierpnia i w ciągu dwóch tygodni uczestniczyły w szeregu poważnych starć po niemieckiej stronie granicy. Natomiast uprzejmość wobec Francji polegała na przyspieszeniu terminu rozpoczęcia generalnej operacji zaczepnej rosyjskiego Frontu Północno-Zachodniego, która rozpoczęła się przekroczeniem granicy niemieckiej przez korpusy piechoty 1. Armii w dniu 17 sierpnia i 2. Armii dnia następnego.

Autorzy dokonali abstrakcyjnego wręcz porównania dokonań obu armii rosyjskich po wejściu na terytorium wschodniopruskie (s. 5). Według nich 1. Armia pokonała Niemców 20 sierpnia w bitwie pod Gąbinem (chodzi o bitwę pod Gawaiten-Gumbinnen 19-20 sierpnia), a irracjonalna postawa dowódcy 2. Armii sprawiła, że *wydał on Niemcom bitwę znaną jako bitwa pod Tannenbergiem*, nie zdoławszy jednak powtórzyć sukcesu sąsiada. Oczywiście nie wydał on bitwy, a jedynie ruchami swych wojsk związał siły prawego skrzydła niemieckiej 8. Armii. Złożony przebieg dalszych wypadków na szerokim froncie i w dłuższym okresie czasu zwycięzca zmagających w uproszczony sposób określił potem mianem bitwy pod Tannenbergiem (Stębarkiem). Karygodnym błędem jest podana przez autorów data tych wydarzeń: 17 sierpnia – 2 września 1914 r. Bitwa przeszła do historii pod datą faktycznej realizacji rozkazu dowódcy 8. Armii gen. płk. Paula von Hindenburga, dotyczącego okrążenia centrum 2. Armii, a zatem 27-31 sierpnia 1914 r. W niemieckiej historiografii początkowo datowana była ona na 23-31 sierpnia, by w kolejnych latach, np. na pamiątkach rocznicowych, przybierać różną postać, np. 26-28 sierpnia 1914 r.

¹ *Der Weltkrieg 1914-1918*, t. VII: *Die Operationen des Jahres 1915: Die Ereignisse im Winter und Frühjahr*, Berlin 1931.

Wątek wschodniopruski recenzji należy uzupełnić w innym jeszcze kontekście, zresztą charakterystycznym dla całej publikacji. Nieudolna konstrukcja wielu zdań świadczy nie tylko o wskazanym wyżej pełnym braku znajomości tematu przez autorów, ale co gorsza, także o braku logiki w przekazywanej czytelnikowi narracji. W opisie bitwy pod Gąbinem 20 sierpnia autorzy oznajmili, że *1. Armia Rosyjska dowodzona przez generała Paula von Rennenkampfa [...], właściwie bez wysiłku pokonała Prusaków. Pobudziło to wyobraźnię i ambicje innego rosyjskiego dowódcy generała Aleksandra Samsonowa [...], spragnionego podobnych sukcesów. W efekcie wydał on Niemcom bitwę znaną jako bitwa pod Tannenbergiem (17.08-2.09.1914)*. Rodzi się zatem pytanie, jak mógł Samsonow pobudzić sukces sąsiada, skoro z podanych dat wynika, iż rozpoczął on bitwę szybciej niż von Rennenkampff? Czytając dalej dowiadujemy się, że *Generał Samsonow [dowódca 2. Armii] popełnił samobójstwo, a nieudolny i z pewnością sfrustrowany porażką Rennenkampff dążył do rewanżu. To on dowodził w późniejszej bitwie pod Łodzią – zresztą z podobnym jak Samsonow skutkiem*. Czytelnik może więc odnieść mylne wrażenie, że na tym skończył się wschodniopruski epizod frontu wschodniego, a wspomniany Rennenkampff po bitwie łódzkiej najprawdopodobniej popełnił samobójstwo. Nie znany jest powód, dla którego autorzy zignorowali bezsprzeczną potrzebę zamieszczenia choćby wzmianki o drugiej walnej bitwie 8. Armii, skutkującej tym razem pobiciem armii von Rennenkampfa w dniach 5-15 września (nazwano ją potem bitwą nad jeziorami Mazurskimi). Bez tego podane przez autorów ogólne wielkości strat obu stron (*Zginęło około 30 000 żołnierzy armii rosyjskiej, a prawie 100 000 dostało się do niewoli. Niemcy stracili „zaledwie” 10 000 żołnierzy*) rujnują zmysł orientacji czytelnika poinformowanego tylko o jakiejś bitwie pod Tannenbergiem – po lekturze tych kilkunastu „wschodniopruskich” zdań nie będzie on w stanie zrozumieć, że te szacunkowe liczby stanowią rezultat wszystkich działań wojennych w okresie od 3 sierpnia po 15 września.

Autorzy sugerują, że powodem błędnych decyzji podejmowanych przez dowódców rosyjskich szczebla armijnego były ich samowola, niskie instynkty i emocje. Piszący zapewne nie wiedzieli, że rosyjskie naczelne dowództwo już długo przed wojną ustaliło, gdzie i jak mają działać jego armie, a ponadto decyzje wykonawcze ich dowódców koordynował sztab Frontu Północno-Zachodniego. Tak jak Niemcy mieli swój plan Schlieffena (uderzenie na Francję przez Belgię), tak Rosjanie mieli swój plan dojścia do Berlina. Jeśli zarysu tego planu oraz jego uwarunkowań geograficznych czytelnik nie zna, to z lektury niżej przytoczonego zdania niczego się nie dowie ani o wydarzeniach wschodniopruskich, ani tym bardziej o całym froncie wschodnim I wojny światowej: *Brak współdziałania dowódców rosyjskich, ogromna, prawie 200-kilometrowa przerwa między zaangażowanymi w tę operację poszczególnymi armiami rosyjskimi oraz to, że Niemcy podsłuchiwali rosyjski system łączności – doprowadziły do prawdziwej hekatombi*. W rzeczywistości, zgodnie z planem dowódcy 1. i 2. Armii współdziałali z dowódcą Frontu, a centralne punkty rejonów wyjściowych tych armii musiał dzielić dystans 180 km ponieważ centrum Prus Wschodnich zajmował tzw. blok rozdzielczy (naturalne przeszkody leśno-jeziorne) Wielkich Jezior Mazurskich. Armie nacierały koncentrycznie i po ominięciu bloku odległość pomiędzy nimi malała, przez co np. 26 sierpnia ich czołowe oddziały dzieliło już tylko 60 km. W kwestii owego *podśluchu* niezbędne jest wyjaśnienie, że treść przechwytywanych rosyjskich depesz radiowych nie wpływała wprost na decyzje niemieckiego dowództwa. Mogły być one bowiem formą celowej dezinformacji i wymagały potwierdzenia za pomocą tradycyjnych działań rozpoznawczych.

Jak twierdzą autorzy, *Wygrana Cesarstwa Niemieckiego pod Tannenbergiem [...] otworzyła przed armią niemiecką szansę na zdobycie Warszawy. Już w połowie października 1914 roku Niemcy dotarli do linii Błonie-Pruszków-Piaseczno. Zostali jednak skutecznie odepchnięci aż pod Włocławek*. Czytelnik może zatem nabrać przekonania, że po Tannenbergu nic się nie działo, cały front wschodni

jednym skrzydłem przecinał Prusy Wschodnie, zaś jego drugie skrzydło znajdowało się w okolicach Warszawy albo Włocławka (gdzie nie wiadomo skąd i dlaczego dopiero wówczas pojawiły się wojska niemieckie). Autorzy milczeniem pominieli też ważne wydarzenie na usuniętym przez nich w niebyt prawdziwym południowym skrzydle frontu, a mianowicie wielką bitwę stoczoną w dniach 23 sierpnia – 28 września przez pięć armii rosyjskich z siłami Austro-Węgier. Tym samym czytelnik epatowany rosyjskimi porażkami w Prusach Wschodnich nie dowiaduje się, że jednocześnie towarzyszył im sukces rosyjski na południu, gdzie zdobycze oraz straty zadane przeciwnikowi w Galicji przewyższyły straty własne na froncie przeciwniemieckim.

Autorzy nie chcieli obciążać uwagi czytelnika – dla nich być może nieistotną – informacją, że we wrześniu 1914 r. główne siły walczących stron były skoncentrowane na skrzydłach rozległego frontu, a w jego centrum Rosjanie już w sierpniu porzucili tereny po zachodniej stronie Wisły. Starając się w pewnym momencie wykorzystać tę sytuację, do natarcia na rubież środkowej Wisły, czyli pomiędzy skrzydłowe zgrupowania wroga, Niemcy i Austro-Węgrzy wydzielili po jednej armii. W rzeczywistości Warszawa nie była głównym celem październikowego natarcia, o czym świadczy skierowanie ku niej tylko jednego lewoskrzydłowego korpusu niemieckiej 9. Armii. Niemcy liczyli na sukces opanowania przy okazji wielkiego węzła komunikacyjnego i gospodarczego przeciwnika dzięki luce operacyjnej w tym rejonie, ale zasadniczo celem wspólnej z Austro-Węgrami operacji było sforsowanie Wisły pod Dęblinem oraz odciążenie mas wojsk przeciwnika od niszczonej wojną wschodniopruskiej i galicyjskich obszarów własnych terytoriów.

Wprost spod Włocławka autorzy wciągają czytelnika w listopadową bitwę pod Łodzią. Tym razem naiwnymi wnioskami dają dowód, że nie są w stanie zrozumieć zasad prowadzenia wojny, które bywają sprzeczne, jeśli by rozpatrywać ich wyniki jednocześnie na szczeblach taktycznym, operacyjnym albo strategicznym. Podnosząc znaczną siłę nacierających wojsk niemieckiej 9. Armii po sprowadzeniu posiłków

z frontu zachodniego, kwitując, że ich aktywność zaczepna pod Łodzią *okazała się porażką armii niemieckiej*. Dwa zdania dalej autorzy dla odmiany sugerują niemiecki sukces, gdyż wcześniej już przedstawiony czytelnikowi von Rennenkampf *znowu wykazał się brakiem decyzyjności i wątpliwą znajomością kunsztu wojennego, co pozwoliło armii niemieckiej wysłiznąć się z kotła*. O ile jest mi znany przebieg bitwy pod Łodzią, armia niemiecka nie znalazła się tam w tzw. kotle, natomiast po przedostaniu się na rosyjskie tyły na krótko została odcięta od reszty związków taktycznych tylko grupa operacyjna gen. Reinharda von Scheffer-Boyadel w sile pięciu dywizji. Tak więc kilka dywizji 9. Armii nie dało się okrążyć, gdy jednocześnie ustąpiły pola i oddały Łódź Rosjanom, lecz zerowy bilans strat i korzyści dotyczył tylko szczebla taktycznego. Poza mylną informacją o natarciu na Łódź z udziałem jednostek sprowadzonych do tego celu z Francji i Belgii (zaczęto je przerzucać dopiero po 20 listopada i nie wzięły udziału w bitwie), autorzy zapewne nie byli w stanie wyjaśnić czytelnikowi istoty całej operacji rozegranej w dniach 16-24 listopada. Rosjanom nie tylko zablokowano wejście na najbardziej newralgiczną dla Rzeszy oś Poznań – Berlin, ale też wciągnięto do boju jednostki aż trzech armii rosyjskich. Dzięki temu jedna z nich – 1. Armia, wyznaczona do udziału w nowej ofensywie na Prusy Wschodnie (utknęła 15 listopada) nie mogła jej wesprzeć. Niemcy osiągnęli zatem cel strategiczny: osłonili Berlin, powstrzymali eskalację działań wojennych na terytorium Rzeszy oraz wyczerpali siły zaczepne armii Cesarstwa Rosyjskiego.

Nie wiadomo dlaczego dopiero w kontekście bitwy pod Łodzią autorzy nagle zaakcentowali obecność mas Polaków wcielonych do walczących ze sobą armii, tak jakby nie było ich wcześniej, choćby w bitwie tannenberskiej. Kończąc rozdział, czyli swoją *przydrożną historię* frontu wschodniego, autorzy poinformowali czytelnika, że *Wykrwawiona strona rosyjska pod koniec listopada 1914 roku postanowiła skrócić linię frontu [...] nad Rawką i Bzurą*. Niezależnie od faktycznego odwrotu czterech armii walczących po zachodniej stronie Wisły pod naciskiem nowego

natarcia 9. Armii (oraz jednej niemieckiej grupy armijnej i dwóch armii austro-węgierskich), o planowym odwróceniu na pozycje dogodnie do przezimowania za mocnymi przeszkodami naturalnymi tj. linią rzek Bzura – Rawka – Pilica – Nida, rosyjska Kwatera Główna postanowiła dopiero 13 grudnia. Istotą manewru było przezimowanie w warunkach łatwego utrzymywania mocnej pozycji, a nie skrócenie linii frontu. Z końcem 1914 r. to samo nastąpiło również na całym froncie zachodnim.

Cały czas jesteśmy dopiero na piątej stronie broszury i pora najwyższa posunąć się dalej, ale trzeba w tym miejscu zasygnalizować, że autorzy nie tylko nie znają i w ogóle nie rozumieją aspektów prowadzenia działań wojennych, ale nawet nie znają zasad pisowni polskiej w odniesieniu do nazewnictwa wojskowego. W zdaniach na tej stronie pojawiają się tego pierwsze przykłady: *1. Armia Rosyjska, Operacja Łódzka, 24. Pułk Syberyjski*. W zdaniach na dalszych stronach odnajdujemy m.in. zwroty: *9. Armia Niemiecka, 41. Pułk Piechoty, 232. pułk rezerwowy, 14. Pułk Strzelców Syberyjskich, 149. pułk armii niemieckiej, 21. Rezerwowy Batalion Strzelców, 227. Rezerwowy Pułk Piechoty, Druga Bitwa pod Ypres, 11. Batalion Pionierów, 36. Pułk Pionierów, 14. Syberyjska Dywizja, Pionierzy, 36. Pułk Gazowy, 225. Pułk, 14. Syberyjska Dywizja Piechoty, 21. Syberyjski Pułk Strzelców, I Wojna Światowa, Bitwa pod Bolimowem, Pierwsza Wojna Światowa, I (Pomorski) Korpus Liniowy, XVII Korpus, 49. Rezerwowa Dywizja, 62. Suzdalski Pułk Piechoty, II Wojna Światowa, czy Druga Wojna Światowa. Przypomnieć więc autorom oraz komisji wydawniczej IAE PAN warto na przyszłe lekcje przydrożne, że już dziesiątki lat temu ustalono reguły polskiego zapisu wydarzeń historycznych oraz sposoby zapisu nazw jednostek i struktur organizacyjnych wojska, nawet obcego, pod warunkiem, że czyniący takie zapisy znają prawidłową i pełną nazwę oryginalną oraz są w stanie zrozumieć podział organizacyjny sił zbrojnych i jego poszczególne szczeble, a potem konsekwentnie używają przyjętej formy zapisu. Tak więc dla przykładu, prawidłowe wersje wyżej zacytowanych zapisów powinny wyglądać następująco: 9. Armia niemiecka, 24. pułk strzel-*

ców Syberyjskich, 227. rezerwowy pułk piechoty, 36. pułk saperów, 14. Dywizja Strzelców Syberyjskich, saperzy, I wojna światowa, XVII Korpus Armijny, 49. Rezerwowa Dywizja Piechoty, II wojna światowa.

Rozdział II „Bitwa nad Rawką 1914-15”

Rozdział został podzielony chronologicznie na dziewięć podrozdziałów. Wzbogacono je wieloma relacjami świadków wydarzeń i sporą liczbą ilustracji, dającą czytelnikowi teoretyczną możliwość lepszego poznania oblicza I wojny światowej na terenie Polski. Autorzy rozpoczynają od krótkiego wprowadzenia w powyższy rozdział (s. 7), gdzie mowa jest o wysiłku fortyfikacyjnym wojsk rosyjskich, które *wybudowały na wschodnim brzegu Rawki linie okopów i umocnień – na tyle poważnych, że wyhamowały one impet wojsk niemieckich*. Osoby piszące te słowa mają bez wątpienia niewielkie pojęcie o taktyce i inżynierii wojskowej. Same okopy i umocnienia nie wyhamują żadnego natarcia, a co najwyżej ułatwiają dokonanie tego przez obrońcę. Skali rozbudowy inżynierijnej nie mierzy się poza tym miarą *powagi*, bo mogłoby to nieuważnego czytelnika doprowadzić do wniosku, że wnoszono wówczas także umocnienia „niepoważne”. Poprawny byłby zapis informujący, że Rosjanie wzniesli silne umocnienia i umiejętnie je wykorzystali do powstrzymania niemieckich ataków, dzięki czemu ofensywa straciła impet. W ostatnim zdaniu wprowadzenia znajduje się ciekawy zwrot, który z pewnością wzbogacił tradycyjny język opisu działań wojennych. Zaskakuje on czytelnika swym poziomem abstrakcji, by sugestywnie mógł odczuć zaskoczenie dowódcy 9. Armii gen. kaw. Augusta von Mackensen zmianą charakteru walk nad Rawką na pozycyjne *po inicjacyjnym impecie*. Zamiast tej nowomowy wystarczyłoby: po ofensywie.

Podrozdział „Zimowe walki nad Rawką”

Lektura już pierwszych zdań (s. 8) wzbudziła moje obawy, że czytelnik będzie miał szereg trudności ze zrozumieniem tego, co naprawdę

działo się podczas I wojny światowej nad Rawką. Jest tak zarówno z powodów stosowania skrótów myślowych jak i specyficznej stylistyki, często będącej pochodną braku wiedzy autorów o znaczeniu używanych terminów, o tle przywoływanych wydarzeń i o nich samych. Według autorów np. opanowanie przez Niemców Bolimowa 18 grudnia było efektem dynamicznego wprowadzania przez nich swoich „porządków” po wkroczeniu w 1914 roku na teren Mazowsza. *Następnie żołnierze niemieccy próbowali zdobywać przyczółki po drugiej stronie Rawki i Bzury. Zwrot zdobywać przyczółek jednoznacznie mówi o walce na przeciwnym brzegu rzeki zajętej przez nieprzyjaciela, zatem autorzy chyba chcieli nam powiedzieć o próbach zdobywania przyczółków na przyczółkach przeciwnika, o czym milczą znane mi opracowania. W Bolimowie centrum miasta było pod ogniem rosyjskiej artylerii próbującej razić przechodzącą rynkiem tabory i żołnierzy. Nie udało mi się znaleźć potwierdzenia o wyposażeniu w tym czasie wojsk niemieckich w pojazdy kroczące. Po obu stronach Bolimowa znajdowały się prowizoryczne mosty nad rzeką Rawką, łączące zaplecze frontu z liniami umocnień, przez które do okopów docierali żołnierze oraz zaopatrzenie. Zapewne autorom chodziło o to, że po mostach wiodły z tyłów trasy do rowów łączących, którymi dalej ludzie i zaopatrzenie docierali do linii frontu, ale na czym polegała owa prowizoryczność mostów nie wiadomo – zamiast stalowego drewniany, a może zamiast wiszącego palowojazmowy?*

Żeby nie zostać posądzonym o czepianie się drobiazgow, przejdę do wydarzeń. Autorzy pisząc o grudniowych próbach zdobycia przez Niemców przyczółków nad Rawką i Bzurą wymienili je mylnie, chaotycznie, nie wszystkie i twierdzą, że zdobycie przyczółka powiodło się tylko na jednym odcinku – na wysokości Bolimowa. Otóż wiadomo dokładnie, że na północ od Bolimowa duże siły niemieckie przeszły 18 grudnia przez most na Bzurze, zbudowany przez saperów pod Kompiną, po czym sforsowały Rawkę i nacierały na wsie położone blisko rzeki. I tak 19 grudnia m.in. związki 36. DP przekroczyły

Rawkę przez jedyny zachowany most na wysokości wsi Sokołów. Inne pułki w wielu miejscach sforsowały rzekę za pomocą pontonów, np. tego dnia 129. pp przekroczył rzekę na wysokości Jasionny i zdobył Ziąbki. W ślad za piechotą ruszyła artyleria i np. 52. part. mógł przekroczyć Rawkę po moście ustawionym pod Bolimowem, po czym pomaszerował na Wolę Szydłowiecką. Piszący pominęli próby uchwycenia przyczółków nad Bzurą, które miały również wpływ na przebieg walk nad Rawką; i tak np. niemieccy żołnierze 18 grudnia zdobyli przyczółek na południe od Sochaczewa pod Dachową i wsią Nowy Kozłów (dawny Kozłów Szlachecki), natomiast nie uzyskały powodzenia ataki 22 grudnia na północ od Sochaczewa pod wsią Żuków. Do powyższych dodam przykład przekroczenia górnej Rawki 23 grudnia pod Nowym Dworem. Ten ostatni fakt jest dla autorów całkowitym tabu, czyli pisząc o walkach nad Rawką dla nich ta rzeka rozpoczyna swój bieg pod Skierniewicami. Wyprzedzając tok recenzji, zastanawiające jest to, jak autorzy przy takiej znajomości geografii stworzyli siedem tras zwiedzania *materialnych pozostałości po walkach nad Rawką*.

Z powszechnie dostępnych opracowań wynika zatem, że do 24 grudnia 1914 r. nie tylko na wysokości Bolimowa Niemcy przedostali się przez Rawkę oraz Bzurę i opanowali szereg przyczółków, które udało im się połączyć w jeden większy o znaczeniu operacyjnym. Tamtejszy odcinek frontu przebiegał od wsi Mogiły do rejonu pomiędzy ujściami do Bzury rzek Rawka i Sucha, co stanowiło około 13 kilometrów czołowej pozycji. *Gdy armia niemiecka zdobyła aż trzy kilometry terenu na odcinku od wsi Mogiły po Ujście rzeki Sucha do Bzury, okazało się, że teren ten był tak podmokły, iż trudno w nim było wykopać zgodnie z instrukcją stanowiska ogniowe i transzeje. Jakoś jednak żołnierze zdążyli się okopać i przez długie grudniowe dni i noce trwali w gotowości, często po kolana w lodowatej wodzie. Kiedyś uczono w szkołach, że grudniowe dni są najkrótsze w roku, ale widać od czasów PRL wiele się zmieniło. Z pewnością niejeden żołnierz wpadł do wody, ale czy pozostawanie w niej było potrzebą, obowiązkiem albo jakąkolwiek korzyścią dla nieszczęśnika i jego ojczyzny? Może warto*

byłoby, gdyby autorzy, jak wynika z dalszej treści publikacji zbratani z tzw. rekonstrukcją historyczną, stanęli zimą w butach z cholewami po kolana w wodzie o temperaturze kilku stopni Celsjusza – zobaczymy ile zdołają maksymalnie tak stać, jaka będzie ich sprawność po wyjściu z wody, po jakim czasie będą zdolni do powtórki i czy sponsor będzie opłacał leczenie. Dalej, nie wiadomo o co chodzi z tymi trzema kilometrami terenu. Teren to pojęcie związane z powierzchnią (kilometry kwadratowe), lecz autorzy piszą o *odcinku*, czyli wprowadzili pojęcie wymiaru liniowego, którego wyliczona przez nich długość nie pokrywa się z mapą. W tym samym zdaniu dowiadujemy się, że Niemcom trudno było wykopać zgodnie z instrukcją stanowiska i transeje z powodu podmokłego terenu. Zglądając do obowiązujących wówczas instrukcji tj. „Polowa służba saperska wszystkich broni”², „Umocnienia polowe – instrukcja”³ oraz „Polowa służba saperska”⁴, można stwierdzić, że faktycznie mogły być kłopoty z wykopywaniem *transej*, ponieważ nie można tam znaleźć takiego urządzenia fortyfikacyjnego. Natomiast obie instrukcje pokazują jak w takich warunkach budować rowy i stanowiska. Wniosek z tego jest oczywisty: autorzy nie mieli w ręku podstawowych instrukcji i nie znają zakresu wyszkolenia piechoty, w następstwie czego demonizują odległe wydarzenia.

Pisząc o pierwszej Wigilii nad Rawką (s. 9) autorzy zgodnie z prawdą stwierdzili, że i w tym czasie nie zaprzestano walk. W uzupełnieniu dodam, iż w tym dniu Niemcy nie tylko szturmowali rosyjskie pozycje przy Kurabce i Dołowatce, ale – o czym nie wspomnieli autorzy – zdobyli te wsie; dokonał tego 5. pułk grenadierów. Natomiast nie wiem z jakiej literatury korzystali autorzy pisząc, iż na froncie zachodnim żołnierze wrogich sobie armii ubierali wspólnie choinki. Owszem śpiewali wspólnie koledy i nawet rozegrali mecz piłki nożnej we Flandrii, nagminnie częstowali się papierosami, alkoholem i innymi delikatesami, ale o ubieraniu choinek nie ma nigdzie mowy.

² D.V.E. Nr. 275: *Feldpionierdienst aller Waffen*, 1911.

³ D.V.E. Nr. 230: *Feldbefestigungs-Vorschrift*, 1906.

⁴ F.Pi.D. Nr. 213, D.V.E. Nr. 213: *Dienstanweisung für die Verkehrsoffiziere vom Platz* (D.U.V.O.)

W tym momencie należy się zatrzymać przy wątku geograficznym. Wspomniana osada Dołowatka dzisiaj nie istnieje (obecnie to część wsi Kurabka na wzniesieniu 92,4), wobec tego obowiązkiem autorów przy pierwszym przywołaniu takiego przypadku powinno być poinformowanie czytelnika o współczesnej lokalizacji właściwego miejsca, oczywiście nie GPS-em, ale realnym opisem! Ponadto nie istnieją też Folwark Borzymów i Ludwików, z kolei przysiółek Majdan również nie istnieje, a miejscowości Majdan Bolimowski nie było w roku 1915, lecz autorzy o tym wszystkim milczą. Warto też zwrócić uwagę na terminy obce, np. autorzy przywołują (s. 19) słynne miasto w Belgii, w rejonie którego toczono ciężkie walki z użyciem m.in. broni chemicznej. Jego oryginalna nazwa zachodnioflandryjska to Yper, a używana nazwa przez Belgów niemieckojęzycznych to Ypern. Stosowanie przez autorów nazwy Ypres (pochodzi z języka francuskiego i przejęta została przez Anglików) jest zapewne wynikiem bezwiednego toku wykorzystywania przez polskich historyków tekstów i nazw używanych przez zachodnich aliantów. Prawdłowo powinno się używać starej nazwy lub nazwy współczesnej Ieper (jęz. niderlandzki).

Wprowadzane przez autorów do publikacji (np. s. 9 i 22) wyjątki z doniesień frontowych spisanych dla prasy rękoma korespondentów wojennych obu stron, z pewnością zdobią publikację, lecz brak istotnego ostrzeżenia dla czytelnika, że nie są żadnym wiarygodnym źródłem historycznym, tylko informacją narracyjną, ponieważ były tworzone pod presją ostrej cenzury. Nie było mowy o druku przekazów bez dostatecznie entuzjastycznych doniesień o odnoszonych sukcesach i prezentacji okrucieństw przeciwnika. W tym względzie równie głęboka była ingerencja cenzury w prywatną korespondencję wojskową. Przy ocenie treści przekazów obu stron z wydarzeń nad Rawką autorzy pozwolili sobie stwierdzić, że dotyczyły one też jakiegoś *strategicznego znaczenia* natarć lub potyczek, więc trzeba stanowczo pokreślić zupełny brak takowego, gdyż mogły mieć znaczenie wyłącznie taktyczne.

Zaskoczeniem jest informacja (s. 10 i 12) o czerpaniu przez autorów także z tekstów w nie-

mieckich księgach pułkowych. Ciekawe gdzie i kiedy mieli dostęp do tych kronik (dzienników wojennych) skoro spłonęły w 1945 r. wraz z większością archiwaliów po I wojnie światowej i obecnie znane są tylko późniejsze opracowania historii jednostek armii cesarskiej, pamiętniki i wspomnienia spisane w latach 1919-1944, które w różnym zakresie zostały oparte m.in. na tych kronikach. Docenić trzeba, że pan M. Jagiełło wspomógł autorów nieznanym dotąd pamiętnikiem rosyjskiego żołnierza walczącego nad Rawką. Uderza jednak stan nierównowagi w ujawnionych fragmentach wspomnień uczestników wydarzeń, który deformuje czytelnikowi obraz wojny. Otóż z zacytowanych wyjątków wynika, iż żołnierze niemieccy ciągle walczyli (s. 10, 11, 12, 14, 17, 20), natomiast żołnierze rosyjscy (s. 10, 13, 14, 17, 55) tylko głodowali i cierpieli fizycznie albo psychicznie.

Przechodząc do samych walk (s. 10), według autorów pozycje rosyjskie były *doskonale rozplanowane*, natomiast *Strona niemiecka ze względu na płaski, odkryty teren, miała doskonały wgląd w linie rosyjskie*. Parę wierszy poniżej autorzy przeczą samym sobie, twierdząc, iż *Zajęty przez armię niemiecką płaski teren stał się dla niej pułapką*. Następnie czytamy (s. 11) *Głębsze wykopy natychmiast wypełniała woda podskórna, dlatego żołnierze musieli się ograniczać do wykopywania płytkich dołków strzeleckich*. Kto i na jakim odcinku? Kolejny już raz wchłaniając takie twierdzenia autorów czytelnik odnosi wrażenie, że cały teren nad Rawką to depresja, zupełnie jak Żuławy, co oczywiście nie jest prawdą. Autorzy zignorowali potrzebę przedstawienia w kilku zdaniach charakterystyki terenu w rejonie Bolimowa.

Jak to na Mazowszu, mamy tam do czynienia z glebą piaszczystą dotkniętą procesami eolicznymi, czyli piaskowymi wydmykami, które czasami są wypełnione wodą, oraz wyniesieniami i niewielkimi pagórkami. O uchwycenie właśnie tych najwyższych leżących miejsc toczono ciężkie walki z wiadomych teraz powodów. Czasami głębiej pojawia się piasek zagliniony, a ponadto odpływ wody blokowały też ujemne zimowe temperatury powodujące podmarzanie gruntu. Wbrew logice, autorzy zanegowali swymi wywodami cytowane tuż poniżej wspomnienia

niemieckiego żołnierza, które mówią o tym, że wszelkie wykopy wypełniały styczniove deszcze, a nie woda podskórna. Tylko okopy i rowy na wyniosłościach dawało się odwodnić. W obniżeniach spodziewano się wody podskórnej, dlatego nikt nie próbował ich zdobywać, ani z potrzeby spychania przeciwnika, ani nawet dla poprawy położenia swojej pozycji. Wspomina o tym np. historia 2. rezerwowego batalionu strzelców: *Niestety przedpole przed naszą pozycją aż do Rawki było tak nisko położone, że wysoka woda gruntowa okopywanie czyniła niemożliwym, tylko jedno małe wzniesienie w postaci wydmy [...] około 100 m od przeciwnika i Rawki [...] umożliwiło wykonanie wysuniętego stanowiska*⁵.

Akcentowane nieustanne ataki niemieckie nie byłyby dla czytelnika niczym nadzwyczajnym, gdyby autorzy wyjaśnili mu ich tło. Milczą o tym, że naczelne dowództwo niemieckie wydało bowiem rozkaz, aby w styczniu cały czas kontynuować ataki pozorujące ofensywę na froncie od Bzury po Rawkę, po to żeby w ten sposób nękać przeciwnika, odwrócić jego uwagę od Prus Wschodnich i związać mu wszelkie rezerwy, które mógłby tam skierować. W ramach tych demonstracji przygotowano atak, który zaplanowano na 31 stycznia 1915 r. z użyciem broni chemicznej. Nie przeszedł on do historii jako pierwszy w Wielkiej Wojnie – jak sugerują autorzy – tylko był pierwszym dokonany na froncie wschodnim. Jestem pełen podziwu dla pomysłowości autorów, którzy pragnąc przygotować czytelnika na opowieść o tym epizodzie, w ostatnich zdaniach podrozdziału użyli takich karkołomnych zwrotów: *W desperacji strona niemiecka i dalej Użycie tej „eksperymentalnej” broni*. W tym miejscu trzeba zaznaczyć (o czym autorzy najwidoczniej zapomnieli), że pierwsze użycie bojowych środków chemicznych przenoszonych amunicją artyleryjską nastąpiło 27 października 1914 r. pod Neuve Chapelle we Francji. Użyto wówczas tzw. pocisków Ni – były to szrapnele kalibru 105 mm napełnione dodatkowo związkami grupy aminowej (C₁₄H₁₆N₂O₂) podrażniającym błony śluzowe (oczy, nos i gardło).

⁵ Dr Sommer, *Die 2. Reserve-Jäger im Felde 1914-1918*, Berlin 1928, s. 104.

Podrozdział „Użycie bojowe gazów łzawiących i drażniących 31 I 1915 r. nad Rawką”

Już w pierwszym zdaniu (s. 12) autorzy użyli niejasnej dla czytelnika terminologii, stwierdzając, że niemiecki atak artyleryjski 31 stycznia miał na celu zniszczenie m.in. tajemniczych rosyjskich *instalacji tyłowych* (s. 12). Czy chodziło im o łaźnie parowe i piekarnie, centrale telefoniczne albo studnie – trudno dociec. Biorąc jednak pod uwagę ówczesną taktykę walki artyleryjskiej, parametry broni i zapasy amunicji, a przede wszystkim ogromne zapotrzebowanie jednostek pierwszego rzutu na likwidację tego co przeszkadzało im w ruchu naprzód, wątpliwe żeby Niemcy marnowali pociski na robienie dziur w namiotach i stodołach gdzieś za horyzontem. Następnie czytamy: *Nawała ogniowa z ponad 500 dział skutkowała użyciem nawet do 18 000 pocisków artyleryjskich. [...] Oprócz klasycznej amunicji w ataku tym, po raz pierwszy na masową skalę w dziejach wojen, użyto eksperymentalnych pocisków z gazami drażniącymi.* Mówiąc o skutkach, taki język przede wszystkim skutkuje narastającymi wątpliwościami i pytaniami, czy autorzy w ogóle wiedzieli o czym pisali? Każdy atak artyleryjski jest ściśle planowany i ma skutkować nie zużyciem amunicji, lecz obezwładnieniem określonych celów w określonej kolejności i czasie. Amunicji zużywa się tyle, ile zostanie wydzielone do wykonania danego zadania taktycznego. W tym przypadku 9. Armia otrzymała dotację 30 000 strzałów armatnich i haubicznych, a z tego wydzielono 18 000 do pierwszej fazy obezwładniania wybranych odcinków linii obrony przeciwnika. Wśród amunicji była tzw. amunicja specjalna, a nie *eksperymentalna*. Czas badań, eksperymentów oraz prób miała za sobą, i już była produkowana limitowanymi seriami.

Jak wcześniej wspomniałem, teza autorów o pierwszym w dziejach wojen masowym użyciu pocisków z ładunkiem chemicznym akurat nad Rawką jest wyssana z palca. 31 stycznia 1915 r. Niemcy zastosowali na przyczółku bolimowskim te same, co wcześniej na froncie

zachodnim, pociski Ni, a ponadto postanowili praktycznie sprawdzić nowy środek, tzw. T, w poprawionych konstrukcyjnie pociskach. Pociski T, oprócz ładunku zasadniczego, były elaborowane solą kwasu bromowodorowego połączoną z ksylenem, z identycznym działaniem jak pociski Ni. Autorzy poprawnie powtórzyli słowa z innych publikacji o nieefektywnym użyciu tej broni z powodu ujemnej temperatury powietrza, natomiast twierdzeniem, że mróz *uniemożliwił odpowiednie rozprężenie gazów po ich wydostaniu się z pocisków* wykazali brak wiedzy technicznej. Po prostu z powodu niskiej temperatury nie nastąpiła sublimacja krystalicznej postaci ładunku, do czego energia cieplna wybuchu rozrywającego skorupę pocisku była za mała. W uzupełnieniu dodam, iż oba środki bojowe do pocisków Ni i T zostały opracowane przez inżynierów Fabryki Farb Friedrich Bayer i Sp., która w dniach 7-8 grudnia 1914 r. na poligonie Wahn przeprowadziła próbne strzelania amunicją przewidzianą potem do wysyłki pod Bolimów.

W syntetycznym opisie wydarzeń, między wierszami znalazła się próba etycznej oceny niemieckiego ataku gazowego z 31 stycznia, która obnażyła zupełną indolencję autorów jeśli chodzi o znajomość techniki wojskowej i przede wszystkim brak świadomości istoty walki zbrojnej: korzystny zbieg okoliczności spowodował, iż żołnierze rosyjscy *nie zorientowali się, że użyto przeciw nim tak okrutnej broni.* Autorzy choć z błędem (nie użyto *gazów łzawiących i drażniących*, lecz drażniących wywołujących m.in. łzawienie!), byli świadomi bojowego użycia broni chemicznej o działaniu zasadniczo jedynie obezwładniającym, a więc generalnie nie zabójczym, o minimalnym wpływie na utratę ludzkiego zdrowia. Gdzie zatem okrucieństwo? Czy broń w ogóle ma być litościwa? Z pewnością nią nie były – nieokrutne według retoryki autorów – niemieckie pociski burzące i odłamkowe, które jak sami zauważyli, równały rosyjskie pozycje i przy tym niewątpliwie kaleczyły oraz rozszarpały obrońców.

W tym podrozdziale autorzy wykroczyli poza temat określony tytułem, i to dość dla siebie niefortunnie. Przeszli niespodziewanie do specyfiki

walk pozycyjnych żeby odsłonić czytelnikowi stan psychofizyczny żołnierzy przebywających w okopach, którzy najbardziej pragnęli ich opuszczenia i odpoczynku (s. 13). Autorzy odkryli, że *miejszem takiego odpoczynku były pozycje tyłowe*. Nic bardziej błędnego – miejscem odpoczynku zawsze były „tyły” ugrupowania bojowego, natomiast na *pozycji tyłowej* przebywały w pogotowiu rezerwy gotowe do kontrataków lub ataków. Pomijając doskonałość przy tym przez autorów teorii drutu metalowego (według nich żołnierze odpoczywali nie w „obozowiskach”, tylko w *obozach polowych*, i nie w „ziemiankach” tylko w *ziemiankach mieszkalnych*), okazali nader swobodny stosunek do tekstów czerpanych z opracowań. W celu przybliżenia czytelnikowi problemu odpoczynku wykorzystali (s. 14) opis oficera 21. Rezerwowego Batalionu Strzelców: *Ludzie na pozycjach, przebywają dniami i tygodniami. Co trzy dni są zmieniani dla odpoczynku. Trzy dni na pozycji i trzy dni odpoczynku. Na końcu zmiany czeka ich kwatera, sen, pranie, apele, pisanie listów, odbieranie poczty, względne bezpieczeństwo* (s. 14).

Nietrudno było ustalić, że powyższy fragment tekstu zaczerpnięty został z historii udziału jednostki w I wojnie światowej opracowanej przez oficera batalionu ppor. H. M. Wennricha⁶. Czytelnik nie jest w stanie porównać go z oryginałem i nie wie, że cytowany wyjątek został zniekształcony oraz źle przetłumaczony. Dalej ów fragment w języku niemieckim i jego właściwe tłumaczenie: *So liegen die Stellungstruppen tagelang, wochenlang vorn. Um sie zu schonen, werden dreitägige Ablösungszeiten festgelegt, sodaß drei Tage Stellung mit drei Tagen Ruhe abwechseln. Am Ende der Ruhezeit steht die Mahnung: Stellung. Am Ende der Grabenzeit aber winkt die Ablösung, des Ruhequartier mit Schlaf, mit Waschen, Appells, Briefe-Schreiben, Postempfang und mit leidlicher Sicherheit.* („Oddziały obsadzające pozycję znajdowały się na jej czole dniami i tygodniami. Aby je oszczędzać, został ustalony trzydniowy czas luzowania, tak, że zamiennie trzy dni na pozycji z trzema dniami odpoczynku. Na końcu czasu wypoczynku stało ostrzeżenie:

⁶ H. M. Wennrich, *Das Reserve-Jäger-Bataillon Nr. 21 im Weltkrieg*, Zaulenroda 1935, s. 80.

pozycja. Natomiast koniec czasu okopowego sygnalizował zmianę, zaciszną kwaterę ze spaniem, z myciem, apelami, pisanem listów, odbiorem poczty i z jako takim bezpieczeństwem”). Rzetelności pozostałych cytatów nawet nie próbowałem badać, gdyż niniejsza recenzja już ma niemal tyle samo stron, ile do tego miejsca udało się ogólnie przeanalizować stron broszury. Do jej końca jeszcze daleko, a nie da się od razu przejść dalej, bo...

Problem rzetelności dotyczy też bezkrytycznego korzystania z opracowań, tak pod względem ich doboru, jak i zawartych tam informacji. Jaskrawie to widać na tej samej s. 14, gdzie autorzy podsumowali bitwę pod Bolimowem (31 stycznia – 4 lutego). *Straty rosyjskie były ogromne. Należy przyjąć, że sięgały 40 000 ludzi (zabitych, rannych lub zaginionych), czyli równowartość 10 rosyjskich pułków. Do niewoli strona niemiecka wzięła około 7 000 jeńców.* Skąd pochodzą te liczby? Okazuje się, że są to nie tyle liczby, co zdania zaczerpnięte ze s. 87 przytaczanego opracowania H. M. Wennricha. Wypada więc zapytać, jak niemiecki autor mógł być wiarygodny w oszacowaniu strat przeciwnika, skoro w swym opracowaniu nie był w stanie podać strat własnej strony?

Autorzy broszury w ogóle nie zajrzeli do opracowań rosyjskich, co skutkuje w ich pracy widoczną wszędzie asymetrią, m.in. brak jest podstawowych danych o składzie wojsk rosyjskich walczących w tym czasie nad Rawką i ich dokonaniach bojowych. Wystarczyło zerknąć do jednego z podstawowych opracowań rosyjskich, tj. pracy A. Kiersnowskiego⁷. Na s. 700 znajdują się precyzyjne dane o stratach za wspomniane 4 dni tych niebywale intensywnych walk: 353 oficerów i 39 720 szeregowych. Ponadto podane jest tam, że spośród rosyjskich jednostek najbardziej ucierpiał pułk z dywizji 4., 25. i 59. Tuż po matematyce dotyczącej wydarzeń pod Bolimowem, autorzy jednym zdaniem mętnie nawiązali do istoty niemieckich działań nad Rawką, a mianowicie ich wpływu na rozpoczęte 7 lutego natarcie 8. i 10. Armii w celu wypchnięcia z Prus Wschodnich

⁷ A. Kersnovskij, *Istoria russkoj armii*, t. III: 1881-1917, Belgrad 1935 (reprint: Moskwa 1994).

i zniszczenia rosyjskiej 10. Armii. Jak twierdzą autorzy, ta *II Bitwa nad Wielkimi Jeziorami Mazurskimi* (historycy zwą ją bitwą zimową nad Jeziorami Mazurskimi albo bitwą zimową w Prusach Wschodnich) była sukcesem *przy stracie „zaledwie” około 16 000 żołnierzy niemieckich. Zginęło w niej ponad 55 000 żołnierzy armii rosyjskiej, a około 100 000 zostało wziętych do niewoli.* Skąd zaczerpnęli te liczby? Na s. 9 broszury zwrócili uwagę na typowy problem szacowania strat bitewnych, które na ogół są *wyolbrzymiane po stronie przeciwnika i umniejszane po własnej.* Nie do końca jest to prawdą. Przywołując tę samą pracę Kiersnowskiego, na s. 705 straty niemieckich armii 8. i 10. spowodowane bitwą zimową nad Jeziorami Mazurskimi oszacował on na aż 80 000 żołnierzy, a rosyjskie określił mało skromną liczbą prawie 200 000 ludzi, ale w tym tylko 70 000 mieli stanowić jeńcy. Które wielkości są prawdziwe? Prawdopodobnie żadne z przywołanych, dlatego autorzy powinni uświadomić czytelnika, że w zakresie szacowania pełnych strat za poszczególne bitwy i kampanie są w opracowaniach znaczne rozbieżności, z powodu wykorzystywania do tego nierzetelnych lub wręcz zafałszowanych źródeł. Należało zatem przywołać skrajne wielkości lub w ogóle je przemilczeć, tym bardziej, że autorzy też nie byli w stanie wyliczyć strat niemieckich poniesionych pod Bolimowem, a prezentacja strat tylko jednej strony konfliktu zbrojnego tendencyjnie wypacza jego historię.

Podrozdział „Wiosna 1915 nad Rawką”

W pierwszym zdaniu autorzy stawiają tezę (s. 15), o tym, że *Wiosną 1915 walki nad Rawką nieco ucichły.* Nieco dalej (s. 16) temu zaprzeczają: *Nad Rawką niezmiennie, choć z różnym natężeniem trwały potyczki, a ich nowym elementem stała się walka pod ziemią.* Zgodzić się można z wyrazem *niezmiennie*, ponieważ od lutego do maja 1915 r. dalej prowadzono walki, lecz niestety niewiele na ten temat można się dowiedzieć z broszury, poza trzema wymienionymi rosyjskimi szturmami, poprzedzonymi atakami minowymi. Tymczasem, według autorów jakoby *Stro-*

na rosyjska nie miała kogo posłać do szturmów [...], gdyż po styczniowych starciach konieczne był uzupełnienia żołnierzy i sprzętu. Ta dezinformacja ma szerszy kontekst. Zapewne autorzy nie wiedzieli, że Rosjanie atakowali wówczas na znacznie szerszym froncie, niż sam rejon Bolimowa. Zwiążali przeciwnika swymi działaniami zaczepnymi m.in. nad Bzurą koło Sochaczewa. Po przeprawieniu się łódkami atakowali np. 21 lutego i 26 kwietnia pozycje niemieckie na odcinku Mistrzewice – Żuków, natomiast 18 marca miała miejsce nieudana próba zlikwidowania przyczółka pod Dachową. Na dodatek rosyjskie lotnictwo cały czas bombardowało tyły niemieckie (np. 18 kwietnia wiele bomb spadło na Bibiampol koło Żukowa).

Autorzy nieustannie są jednostronni w swoich wywodach, i stało się to też w przypadku problemu *uzupełnień.* Umknęło im, że także niemieckie wojska borykały się z tym problemem. W wielu opracowaniach o walkach na froncie Rawki-Bzury zaakcentowano, iż w miesiącach luty-kwiecień Niemcy otrzymywali znaczne uzupełnienia w ludziach i materiale wojennym. Ich zapasy zgromadzone na wypadek wojny wyczerpały się podobnie jak rosyjskie i np. wprowadzone do boju pułki rezerwowe utworzone w V Okręgu Wojskowym uzbrajane były w zdobyczne rosyjskie kb. Mosin wz. 1891, a żołnierze nierzadko nosili na sobie elementy cywilnej odzieży. Nie tylko brakowało szeregowych i karabinów, ale również kadry oficerskiej, nawet w kręgach najwyższego dowództwa – autorzy przywołali fakt (s. 15) powołania z rezerwy emeryta 68-letniego księcia Leopolda von Bayern na stanowisko nowego dowódcy 9. Armii. Przy tej okazji przypomnieli czytelnikowi, że *Armią rosyjską niezmiennie dowodził Mikołaj Mikołajewicz Romanow [...], który podlegał tylko carowi.* Żeby czytelnik nie wpadł zbyt głęboko w przydrożne wertepy historii I wojny światowej musi wiedzieć, iż formalnym głównodowodzącym sił zbrojnych Cesarstwa Rosyjskiego był car Mikołaj II, ale czuł się on dyletantem w sprawach wojskowych, toteż upoważnił swego wuja (zawodowego oficera w generalskiej randze) do pełnienia w jego imieniu wszystkich czynności sztabowych i liniowych.

Przejdźmy teraz do wojny pod ziemią, jak niesłusznie nazwali autorzy to, co m.in. działo się pod Bolimowem. Słusznie zauważyli (s. 16), że w walkach pozycyjnych wykorzystano sposób walki, który *ma długą tradycję*. Według ich krótkiego wykładu na ten temat, ładunki wybuchowe podkładano w celu zdobycia obiektów strategicznych przeciwnika, na przykładzie wydarzeń z oblężenia Sewastopola w 1855 r. *nauczano w akademiach wojskowych technik prowadzenia wojny minowej*, a co do sposobów przeciwdziałania atakowi minowemu, precyzyjne informacje można znaleźć w *pracy Revue Militaire Suisse z roku 1870*. Pomijając poruszone już wcześniej zagadnienie niezrozumienia przez autorów terminu *strategiczny*, trzeba by ich zapytać, czy aby w akademiach wojskowych nie omawiano nowszych przykładów ataku minowego. Przykłady można tu mnożyć, a wymienić można choćby te z amerykańskiej wojny secesyjnej 1861-1865 lub wojny rosyjsko-japońskiej 1904-1905. ponadto można zapytać, czy sprawozdania o wynikach rosyjskich doświadczeń ataku i kontrataku minowego przeprowadzonych w twierdzy modlińskiej w latach 1839-1841 były nieprecyzyjne lub nieaktualne w stosunku do treści artykułu w czasopiśmie szwajcarskim lub do potrzeb działań wojennych nad Rawką w roku 1915? Warto też autorów zapytać, gdzie się podziała ta wszechobecna nad Rawką woda podskórna?

Trzeba autorom przyznać rację, że prawdą jest kojarzenie tej metody walki w I wojnie światowej wyłącznie z frontem zachodnim. Na froncie zachodnim czytamy: *Największa koncentracja działań minowych nastąpiła w sektorze Vauquois, we Francji, gdzie pomiędzy wrześniem 1915 roku a sierpniem 1916 obie strony odpaliły blisko 100 ładunków i kamufletów*. Największa, ale pod jakim względem – liczby wybuchów, ich siły, czy może kubatury wykopanych tuneli i komór? Zapewne podany przykład jest godny cytowania, lecz nie zazębia się w czasie z wymienionymi przez autorów eksplozjami min w rejonie Bolimowa. Otóż pierwsze wybuchy nastąpiły na francuskim odcinku frontu zachodniego. We wsi La Boisselle (nad Sommą) już w listopadzie 1914 r.

Niemcy zaczęli drążyć tunele i 2 stycznia 1915 r. odpalili pierwszy ładunek (omyłkowo pod własnym okopem), natomiast 5 stycznia wreszcie pod pozycją przeciwnika, lecz nie wyrządzając tym wielu szkód. 10 stycznia Francuzi odpowiadają kontratakami, ale 18 stycznia Niemcy kamufletem częściowo zniszczyli francuskie tunele. 7 Lutego Niemcy zdetonowali 2,5-tonową minę, zabijając 8 francuskich saperów. W Les Éparges (Francja) pierwszy wybuch miny nastąpił 17 lutego 1915 r., a co do wsi Vauquois, to od 8 września 1915 do 3 sierpnia 1916 r. obie strony wywołały 98 eksplozji. Natomiast do ostatniego wybuchu w kwietniu 1918 r. w sumie wykonano ich 536, które unicestwiły wieś na szczycie wzgórza i obniżyły samo wzniesienie o 12 metrów. Największym lejem, jaki obecnie można zobaczyć po wybuchu miny, jest Lochnagar-Krater, położony we Francji nad Sommą. W bitwie pod Messines (Belgia) 7 czerwca 1917 r. zdetonowano 19 ładunków na froncie długości 26 km, zawierających łącznie 450 ton materiałów wybuchowych.

Wojna pod ziemią to starcia obu stron poniżej powierzchni terenu, a o działaniach kontrminowych nad Rawką brak jakichkolwiek informacji. Odbywały się tylko jednostronne ataki minowe i żal, że autorzy nie chcieli poinformować czytelnika, iż na froncie wschodnim miały one miejsce w tym samym czasie co na Zachodzie i stało się to właśnie nad Rawką. Autorzy wymieniają tylko trzy wybuchy min, które wykonali rosyjscy saperzy (s. 17). Gdyby zainteresowali się dokonaniem niemieckimi, wiedzieli by o pierwszym ataku nad Rawką już 14 stycznia 1915 r. Sprowokowano tym rosyjski rewanż, który rozpoczął się 22 lutego wysadzeniem w powietrze kawalka czołowej pozycji wroga na odcinku obsadzonym przez 227. rez. pp. Na tę okoliczność autorzy zacytowali opis zdarzenia, zaczerpnięty z opracowania o historii pułku. Porównując cytat z oryginałem⁸, znowu okazuje się, że część zdań jest pominięta (nawet w połowie), a reszta została przetłumaczona na język polski według niezrozumiałego widzimisię: *Rosjanie wysadzili przez podkop minę*

⁸ F. Giese, *Das Reserve Infanterie Regiment Nr. 227 im Weltkriege 1914/18*, Frankfurt/M. 1931, s. 135

pod częścią stanowisk 7. kompanii (w oryginale: „Rosjanie podziemną miną wysadzili w powietrze część pozycji 7. kompanii”), *Nakazałem natychmiast 8. kompanii zatrzymać się i okopać nad Rawką oraz utrzymać pozycje.* (w oryginale: „Doprowadziłem do natychmiastowego zatrzymania się z powrotem 8. kompanii oraz pozwoliłem jej obsadzić i utrzymywać rów łączący ciągnący się od 7. kompanii ku Rawce.”), *Część I Batalionu została przesunięta na pierwszą linię.* (w oryginale „Część I batalionu przeszła do wzmocnienia na czołową linię.”), *kandydat na oficera Fenchel* (chodzi o oficera zastępczego Fenchla), *Tornistry 7. i częściowo 8. kompanii zostały utracone.* (w oryginale mowa jest o utracie bagaży).

Na s. 18 czwarty podrozdział autorzy poprzedzili tekstem mającym przybliżyć sylwetkę niemieckiego chemika Fritza Habera. Do tych zdań konieczny jest komentarz. Autorzy stwierdzili, że użycie w bojach nad Rawką gazów drażniących Niemcy uznali za *nieudany eksperyment*. Oczywiście są w błędzie, gdyż eksperymenty prowadzone były przed użyciem tej broni, zanim zaczęto ją produkować seryjnie. Natomiast koniecznie trzeba zapytać autorów – skoro broń była zła, to dlaczego Niemcy dalej jej używali wiosną i latem 1915 r. na innych odcinkach frontu rosyjskiego?

Odnosnie samego Habera, to urodzony w dzisiejszym Wrocławiu 6 grudnia 1868 r. zmarł w Bazylei (Szwajcaria) 29 stycznia 1934 r. Jego praca nad syntezą amoniaku została rozpoczęta w roku 1904 i zakończona uzyskaniem patentu w 1911 r.; otworzyła drogę do masowej produkcji nawozów sztucznych oraz materiałów wybuchowych. W 1911 r. Haber został dyrektorem Instytutu Fizykochemii i Elektrochemii Cesarza Wilhelma w Berlinie (*Kaiser-Wilhelm-Institut für physikalische Chemie und Elektrochemie in Berlin-Dahlem*). Dopiero po wybuchu wojny zgłosił się do wojska na ochotnika i został doradcą naukowym z zakresu chemii w Ministerstwie Wojny.

Za technologię syntezy amoniaku otrzymał Nagrodę Nobla nie w roku 1918, jak sugerują autorzy, lecz w 1919 r. nadano mu ją za rok 1918. Autorzy opisując osobę Habera pozwolili sobie

nazwać go *niechlubnym ojcem pierwszej broni masowego rażenia – trujących gazów bojowych*, aczkolwiek w literaturze o nim można znaleźć określenie, że jest on ojcem nawozów sztucznych. Autorzy wyeksponowali tylko to co negatywne, w dodatku sugerując równoległe istnienie gazów bojowych nietrujących! Przemilczeli fakt, iż to z jego inicjatywy i pod bezpośrednim przewodnictwem prowadzono prace nad skonstruowaniem uniwersalnej maski przeciwgazowej, co zaowocowało wprowadzeniem do użytku jesienią 1915 r. maski z filtrem mechanicznym. Nie jest prawdą, że jest on odpowiedzialny za *wynalezienie w latach 20. XX wieku gazu Cyklon-B*. Cyklon-B to nazwa handlowa preparatu, który po podgrzaniu oddawał wchłonięty wcześniej silnie toksyczny cyjanowodór. Również nie jest prawdą, że pracował od początku I wojny światowej nad gazami bojowymi. Doszło do tego dopiero w grudniu 1914 r., kiedy Niemcy zaczęli poszukiwać radykalnych sposobów przełamania stabilizującej się linii frontu na Zachodzie. Chlor był produktem ubocznym w produkcji chemicznej, z którą akurat Haber miał do czynienia. Był to środek tani i szybki do pozyskania w dużych ilościach, cięższy od powietrza i silnie toksyczny, idealnie nadawał się do rażenia ludzi, zaproponował więc wykorzystanie go jako broni i służbowo został wyznaczony do pilotowania tego programu.

Na s. 18 zamieszczone jest zdjęcie, które autorzy opatrzyli podpisem *Fritz Haber dokonuje przeglądu stanowiska bojowego pod Bolimowem w przeddzień ataku gazowego*. Fałszują tym historię. Ta znana fotografia została bowiem wykonana na tyłach frontu we Francji, podczas uzbrajania pocisków 77 mm z bojowym ładunkiem chemicznym, w celu dokonania próbnych strzałów. Widoczne są leżące na nich tabliczki z opisem partii próbnych. Nawet czytelnik nie obeznany w temacie, jeśli uważnie przyjrzy się osobom (letnie umundurowanie) i ich otoczeniu (brak śniegu), nie będzie miał wątpliwości, że owo zdjęcie nic nie ma wspólnego z wojną nad Rawką. Do takich przydrożnych praktyk manipulowania treścią fotografii powrócę w dalszej części recenzji.

Podrozdział „Letnia Bitwa nad Rawką: maj-lipiec 1915. Gaz pod Bolimowem – Ypres frontu wschodniego”

Dobrze, że autorzy rozpoczynając (s. 19) przypomnieli o falowym ataku gazowym 22 kwietnia 1915 r. na froncie zachodnim, tyle tylko, że nie był to pierwszy niemiecki atak przy użyciu *trujących gazów bojowych*, lecz pierwszy z zastosowaniem *gazu duszącego* i przy użyciu nowatorskiego sposobu jego przenoszenia na pozycje wroga. Ponownie zwraca uwagę niepoprawna pisownia, co poruszyłem w omawianiu poprzednich stron broszury. W drugim i kolejnych zdaniach znajdujemy złożone wywody autorów, przekazane w zawiły i niekompetentny sposób. Owszem, do uzbrojenia chemicznego zalicza się broń zapalającą, lecz o tym autorzy nie informują czytelnika, natomiast z tekstu nagle dowiadujemy się, że do tzw. „broni przełamania”, nad którą pracowali specjaliści wszystkich stron konfliktu, należały miotacze ognia (wówczas zwane miotaczami płomieni). W porównaniu z gazami, broń ta – o niewielkim zasięgu i sile rażenia – stosowana była incydentalnie. Rzekomo takie miotacze *armia niemiecka testowała i wprowadziła na wyposażenie już na przełomie XIX i XX wieku*. Tak naprawdę niemiecka armia formalnie wprowadziła je do uzbrojenia w roku 1911. Nie wiadomo skąd autorzy wzięli historyjkę o tym, że *Podjęmowano też próby rozpylania chloru z miotaczy płomieni*. Nikt logicznie myślący nie podejmował by takich prób, bo to tak jakby do lekkiego pojemnika ciśnieniowego z dezodorantem przyczepić drugi pusty, żeby urządzenie było cięższe i bardziej nieporęczne. Jeszcze dalszą ucieczką od tematu podrozdziału jest odkrycie przez autorów przypadku zastosowania tej broni chemicznej pod Rawą Mazowiecką. Mieli pisać o Bolimowie, zatem trzeba im przypomnieć, że np. dwa miotacze ognia długo przed majem ustawiono w eksponowanym przez nich rejonie walk przy osadzie Mogiły już w połowie lutego 1915 r.

W omawianiu szczegółów użycia nowej broni chemicznej, czyli sposobów przechowywania i miotania chloru, znajdują się kolejne uchybienia merytoryczne potwierdzające brak wiedzy

autorów co do jej taktycznych zasad stosowania, jak również w zakresie ogólnotechnicznym. I tak *Gaz był emitowany z butli zgrupowanych w baterie po 10-15 sztuk*. Zgodnie z instrukcją, baterie powinny dysponować 20 sztukami butli, lokowanych w 50-metrowych odstępach między sobą. Jednak było to uwarunkowane ukształtowaniem terenu i pozycji, w których miały być ustawione. Po sformowaniu pierwszego „chemicznego” 35. pułku saperów, cześć butli (o pojemności 40 kg chloru) przeznaczona dla jego wyposażenia, została zarekwirowana z zakładów przemysłowych. Równocześnie na potrzeby jednostki zamówiono w wytwórniach krótsze o połowę butle niskociśnieniowe, mieszczące 20 kg gazu, a nie jak twierdzą autorzy 18 kg. Co jest bardzo ważne, a tego autorzy nie przekazali czytelnikowi, butle napełniano nie tyle „sprężonym chlorem”, co sprężanym do odpowiedniego ciśnienia, żeby przeszedł w stan płynny. Ponadto dodatkowo do butli nie były *węże ołowiane* tylko rury ołowiane („elastyczny” nie równa się „plastyczny”!) i nie służyły one do „uwalniania gazu” (do tego służył zawór zamykający butlę!), lecz nadania właściwego kierunku uwolnionemu strumieniowi gazu.

Poważnym błędem jest twierdzenie autorów, że 35. pułk saperów *działał na froncie zachodnim*, a 36. pułk saperów *obsługiwał instalacje gazowe na wschodzie*. W rzeczywistości oba pułki wzięły udział w działaniach zarówno na froncie wschodnim, jak i zachodnim, a nawet dochodziło do przypadków ich współdziałania.

Podrozdział „Pierwszy atak gazowy na froncie wschodnim: 31 maja 1915”

Przecież według autorów pierwszy atak gazowy na froncie wschodnim nastąpił 31 stycznia! Zapewne za sprawą natłoku myśli zgubili w tym tytule wyraz „falowy”. Poza tytułem, już pierwsze zdania tekstu (s. 20) znowu wprowadzają czytelnika w błąd. Atak gazowy nie był planowany *na odcinku frontu od Majdanu do Zakrzewa, o długości około 12 kilometrów*. Autorzy nie wiedzieli, że chodziło im o odcinek, na który skierowano 36. psap., czyli przyczółek bolimowski. Również nie był to odcinek

zaplanowanego związania przeciwnika bojem. W rzeczywistości był to 10-km pododcinek Tartak Bolimowski-Sucha – i jak pozornie można sądzić – wielkość ta nie była równoznaczna szerokości wypuszczonej chmury gazu. Na tym froncie wybrano konkretne odcinki rosyjskiej pozycji, możliwe do pokrycia chmurami gazu w tym samym czasie, a więc przy tym samym kierunku wiatru nad całym przyczółkiem bolimowskim. Nie mogły być to odcinki dowolne. Wykluczone były miejsca, naprzeciw których własne pozycje przebiegały skośnie lub przechodziły przez niecki terenu i obszary zalesione. Dezorientację czytelnika, co do znacznej szerokości wypuszczonej fali chloru pogłębia spis (niepełny) aż siedmiu pułków rosyjskich (s. 22), z których pochodzili porażeni gazem żołnierze, dostarczeni do punktów medycznych. Autorzy po prostu nie zwrócili uwagi na istotny fakt, co prawda bezwiednie o nim pisząc (o tym poniżej), a mianowicie na głębię urzutowania wojsk zajmujących obronę. Z rosyjskich dokumentów jednoznacznie wynika, że zaatakowano odcinki pozycji czołowej obsadzone tylko przez trzy pułki z 6. DSSyb. i 14. DSSyb., natomiast pozostałe pułki z 3. DSSyb. i 55. DP stały głębiej w rezerwie. Autorzy wspomnieli o dwukrotnym przełożeniu terminu ataku z powodu złych warunków wiatrowych. Tymczasem takiego terminu nie daje się przewidzieć z oczywistych względów, natomiast istotny jest termin osiągnięcia gotowości pułku chemicznego do ataku, co przemilczano. Autorzy prawidłowo przepisali z innych opracowań wielkość 240 ton użytego gazu w 12000 butlach, a zatem zaprzeczyli swoim twierdzeniom (s. 19), iż butle miały pojemność nie 20 kg tylko 18 kg, na co wcześniej zwróciłem uwagę.

W ciekawy sposób autorzy opisali przebieg ataku falowego. *Okazało się że podmuch wiatru przegnał wiatr znad pierwszej linii okopów rosyjskich dalej, na tyły. To dlatego Niemcy natknęli się na niespodziewany ogień nie tylko broni strzeleckiej, ale też artylerii. [...] Siła rażenia chmury chloru uderzyła w drugą linię i w tyły wojsk rosyjskich.* Przekładając to na język polski, obłok chloru został początkowo uniesiony

przez strumienie szybko przemieszczającego się powietrza i większa część jego masy przetoczyła się ponad czołowymi rowami, a dopiero za nimi w pełni dosięgnął ziemi, a przemieszczając się dalej opadał i wlewał się we wszelkie pustki, porażając na swej trasie każdego, kto zaczerpnął gaz do płuc.

Na s. 21 można odnaleźć inny ciekawy opis, tym razem konstrukcji ówczesnego środka ochrony przeciwgazowej, przy czym nie wiadomo, czy dotyczy wyposażenia niemieckiego, czy może rosyjskiego. Według autorów *Jedynym środkiem ochrony przed gazem były wtedy tampony [...]. Składały się one z tiulowej torebki wypełnionej pakułami nasączonymi roztworem.* Nie były one jedynym środkiem ochrony (o czym zresztą piszą nieco dalej) i w dodatku nie składały się z tiulu i pakułek. Chyba, że rekonstruktorzy wykonali sobie owe tampony ze ślubnej sukienki córki jakiegoś hydraulika wypakowanej pakułami. Dla wyjaśnienia – tiul to ażurowa tkanina do welonów, pakule natomiast są to krótkie włókna słomy lnianej lub konopnej. Jak więc widać autorzy nigdy nie mieli w dłoniach oryginalnego tamponu, tak więc przyda im się wsparcie opisem eksponatu z mojej kolekcji. Pierwsze niemieckie tampony były wykonane z gazy bawełnianej, złożonej kilkakrotnie dla uzyskania wielu warstw, zaś pomiędzy nie wkładano odpady z obróbki bawełny. Następnie obszywano boki pakietu taśmą, a jej swobodne końce sterczały z rogów na kilkadziesiąt centymetrów w celu mocowania maski na głowie. Pakiet nasączano wodnym roztworem tiosiarczanu sodu, który absorbował gaz, zasysany z powietrza nosem lub ustami.

W pełni sprawnym środkiem ochrony dróg oddechowych przed bronią chemiczną były aparaty tlenowe stosowane w górnictwie (*Selbstretter Dräger-Tübben*), które w ilości 6000 sztuk zostały specjalnie do tego celu zamówione w marcu 1915 r. Fabryka w Lübeck nie mogła natychmiast sprostać zapotrzebowaniu, dlatego w pierwszej kolejności dostali je saperzy (oczywiście, że jak twierdzą autorzy tylko *niektórzy*, bo zgodnie z tabelą należności nie wszystkim były potrzebne), potem pododdziały medyczne.

W pewnej liczbie wydano do kompletu też okulary ochronne. Do ogólnego zabezpieczenia ludzi przed gazami bojowymi, do czasu rozwinięcia masowej produkcji maski przeciwgazowej wz. 1915, w armii niemieckiej wprowadzono wiele odmian tamponów i większych masek mokrych nasączanych wspomnianymi solami, do których dodawano okulary ochronne jako komplet, lub też osobno wydawano je żołnierzom ze składów sanitarnych.

Co do wyposażenia żołnierzy armii rosyjskiej w środki ochrony przeciwgazowej, to autorzy zaskakują czytelnika niezwykle naiwnym wywodem (s. 21). Ponoć *Istnieją źródła pośrednio potwierdzające tezę, że również armia rosyjska na froncie wschodnim już 1915 roku dysponowała maskami zabezpieczającymi przed bronią chemiczną. Nie wydano jednak rozkazu ich użycia, dlatego straty po stronie rosyjskiej były tak ogromne. Cóż, znowu widać, że ich wiedza o militariach jest niezmiernie płytka i nawet nie znają współczesnej rodzimej literatury historyczno-wojskowej na ten temat*⁹.

Żeby uchronić czytelnika przed szkodliwą iluzją kompetencji autorów broszury co do spraw, o których piszą, pozwolę sobie na kilka zdań komentarza (tym bardziej, że w dwóch następnych podrozdziałach problem przygotowania Rosjan do odpierania ataków chemicznych został przemilczany). Po falowym ataku 22 kwietnia pod Yper zachodni alianci natychmiast uruchomili program opracowania i wdrożenia indywidualnych środków ochrony dla swoich wojsk. O jego wynikach meldowali do Kwatery Głównej przedstawiciele armii rosyjskiej przy centralnych sztabach wojsk brytyjskich i francuskich. Na podstawie tych materiałów główny kwatermistrz gen. Jurij Daniłow przesyłał odpowiednie instrukcje dowódcom Frontów i armii. Już 18 maja wszyscy dowódcy korpusów Frontu Północno-Zachodniego znali opisy przeciwgazowych masek brytyjskich wraz z recepturą płynu do ich nasycania (analogicznie o środkach francuskich uzyskali informacje 5 czerwca).

Konstrukcja masek była bardzo prosta, a pozyskanie niezbędnych do ich zrobienia materiałów (np. opatrunki osobiste) oraz odczynników nie sprawiało kłopotów. Najpierw maski miały powstawać w trybie pilnym w oddziałach frontowych, zanim efekty uruchomionej produkcji pokonają biurokratyczne i inne formalne zapory, by w końcu dotrzeć do żołnierskich rąk. Zagrożenie wydawało się abstrakcyjne, toteż 31 maja jednostki frontowe pod Bolimowem generalnie masek jeszcze nie posiadały. To spowodowało poważne straty, których prawdziwej wielkości zapewne nigdy nie poznamy. Wątpliwe jest, aby po tak tragicznym doświadczeniu nie uruchomiono w trybie alarmowym ekwipowania obsady (przynajmniej czołowych) rowów wszystkim, co przypominało niezbędne, a już wszystkim znane maski. Tak więc 12 czerwca niektóre rosyjskie pododdziały musiały już mieć środki ochrony dróg oddechowych, a w lipcu były one powszechne w całej armii, ponieważ seryjnie już produkowano kilka typów masek mokrych (ich konstrukcja w ogólnym zarysie była podobna do powyżej opisanego tamponu niemieckiego). Pomimo tego, po maju nadal ponoszono wysokie straty, sądzić można, iż wskutek bardzo słabego wyszkolenia żołnierzy, bałaganu na pozycjach i niedoskonałości sprzętu (zbyt niskie szczelność i chłonność).

Dalej czytamy (s. 21) o wypadku zaistniałym po niemieckiej stronie pod Wolą Szydłowiecką, który za autorami polegał na tym, że *doszło do rozszczelnienia kryzy (nakrętki) pomiędzy jedną z butli a węzem łożnianym*. Nie dość tych samych błędów, które już opisałem (ciągle „węże”!), należy tu wyjaśnić, że chodziło o nakrętkę łączącą zawór butli z rurką łożnianą. Szkoda również, że wywołane pierwszym gazowym atakiem falowym na przyczółku bolimowskim straty ludzkie, są niezwyfikowane i ponownie przesadzone. Według autorów *Śmierć od gazu poniosło około 11 000 żołnierzy, zaś około 9 000 uległo zatruciom mniej lub bardziej poważnym, pomimo że z 60 butli, chloru nie zdolano uwolnić*. Gaz nie mógł zabić i obezwładnić łącznie 20 000 żołnierzy rosyjskich, bo to by oznaczało pełne wyeliminowanie z boju sześciu pułków, czyli wybitcie we froncie luki o szerokości kilku kilometrów. Tymczasem

⁹ Vide: B. Perzyk, *Maski przeciwgazowe armii rosyjskiej 1915-1917*, „Archeologia Wojskowa”, 1994, nr 2, s. 36-41; idem, *Twierdza Osowiec 1882-1915*, Warszawa 2004, s. 266 i 274.

w natarciu po ataku gazowym wojska niemieckie takowej luki nie odnalazły. Jaki na to wszystko mógł mieć wpływ zatrzymanie gazu z 60 butli (tzn. 0,5%)? W rzeczywistości było ich znacznie więcej. Wiadomo jest o kilku bateriach butli, których opróżnienia zaniechano przede wszystkim z powodów meteorologicznych, natomiast dokładnej ilości dziś ustalić się nie da. Nie chcąc być gołosłownym, dobrym przykładem jest odcinek 141. pp, gdzie wiatr zmienił kierunek i zaniechano wypuszczenia gazu ze znacznej liczby butli.

Na dole s. 21 umieszczono zdjęcie, które według opisu jakoby zostało zrobione nad Bzurą. Sanitariusz z fotografii nie należy, jak twierdzą autorzy, do 12. rez. pp, co wyraźnie widać po oznaczeniu na pokrowcu pickelhauby (brak litery R nad cyfrą 12). Fotografię wykonano na froncie zachodnim, a żołnierz należy do 12. pułku grenadierów lub do 12. pp (bawarskiego) – obie jednostki w roku 1915 walczyły na terenie Flandrii francuskiej.

Podrozdział „Drugi atak gazowy: 12 czerwca 1915 roku”

Nie wiadomo jakimi kryteriami kierowali się autorzy, z wielką pewnością określając godzinę 3:40 jako czas rozpoczęcia ataku gazowego (s. 24), kiedy to w niemieckich opracowaniach historii pułków uczestniczących w ataku można odnaleźć wyraźne rozbieżności. Tak więc atak nie odbył się równocześnie na całym froncie, co było zamierzone, albo tego dnia kaprysił ruch powietrza. Atak chemiczny odbył się etapami poczynawszy od godz. 2:45, przez 3:30 do 4:10. Niesamowitego odkrycia dokonali autorzy w kwestii wsparcia ogniowego ataku, gdyż ponoć *niemieccy artylerzyści wystrzelowali 50 salw na minutę z 24 baterii dział i miotaczy min.* Zdanie to znowu potwierdza, że autorzy kompletnie nie znają organizacji armii niemieckiej w tym czasie, jak również właściwości taktyczno-technicznych uzbrojenia. Po pierwsze miotacze min nie należały do uzbrojenia artylerii; były obsługiwane przez saperów i strzelały niezależnym od niej rytmem. Salwa baterii dział co sekundę nie jest w żaden sposób możliwa, gdyż dłużej trwa rozładowanie po

strzale i kolejne załadowanie, nie wspominając o korekcie celowania i zgraniu jednoczesnej pracy wszystkich działonów. O wytrzymałości dział chyba nie trzeba się rozpisywać. Jak było naprawdę mówi historia biorącego udział w ataku 8. rez. pp¹⁰, gdzie na s. 93 jest wyraźnie napisane: *Nasza artyleria wzmogła ogień przeciwko pozycji nieprzyjaciela do 50 strzałów na minutę.* Oznacza to, iż co minutę na ostrzeliwany odcinek rosyjskiej pozycji spadało 50 pocisków, a nie pociski z 50 salw.

Dalszy krótki opis wydarzeń nie jest zgodny z przebiegiem ataku w tym dniu i zawiera epizody wyrwane z kontekstu całości walk po wypuszczeniu gazu na pozycje rosyjskie nad rzeką Suchą. Czytamy tam m.in.: *Rano około 7:00 Niemcy przekroczyli Bzurę w rejonie Kozłowa Biskupiego.* Z ww. opracowania o historii 8. rez. pp dowiadujemy się, że o godz. 7.00 Kozłów Biskupi był już dawno zdobyty, natomiast o tym czasie sztab pułku zajął tamtejszy kościół na nowe stanowisko dowodzenia. Walki toczono tam z piechotą rosyjską, która nie odczuła skutków użycia gazu, gdyż bo w tym rejonie Niemcy nie przeprowadzili ataku chemicznego z lewego brzegu Bzury. Mało tego, piszący wspominają o zdobyciu tej miejscowości *choć pozycje niemieckie były silnie ostrzeliwane przez artylerię rosyjską.* Zaraz oznajmiamy o sukcesach niemieckich, iż włamali się oni w głąb linii rosyjskich na 3 km, a nieco dalej z cytowanej relacji M. Wilda o skutkach wypuszczenia gazowej chmury możemy przeczytać, iż *ze strony nieprzyjaciela nie padł ani jeden strzał, jego artyleria całkowicie zamilkła.* Zatem o jakich pozycjach jest mowa i w jakim czasie rosyjska artyleria prowadziła ostrzał? Z opracowań niemieckich wiadomo, że rosyjskie kontrataki (kolejno odpierane) na Kozłów Biskupi poprzedzone silnym wsparciem artylerii nastąpiły o godz. 17.00, 20.00 i 22.00, czyli wiele godzin po ataku gazowym.

O kunszcie tłumaczenia z języka niemieckiego już wspominałem, ale czuję się zobowiązany na rzecz czytelników ponownie roz-

¹⁰ K. A. Rohrbeck, *Reserve Infanterie Regiment Nr. 8 im Weltkriege*, Zeulenroda 1934, s. 93.

winać tę kwestię. W tym wypadku nieudolne tłumaczenie wspomnień Maxa Wilda (s. 25) przesiąknięte jest jeszcze subiektywnym doborem wyjątków. Zacytuję fragment tłumaczenia: *Sluchałem półuchem kiedy mi swoje uczone wywody o działaniu jadowitych gazów teraz na obiektach wyjaśniał. Ten patrz pan ma zaniebieszczone białko oczu! Typowe ciężkie zatrucie. Niestety nie do uratowania.* W oryginale czytamy: „Słuchałem go bez większej uwagi, jak on mi swój uczony wykład o działaniu trujących gazów od tego momentu bardziej na przykładzie przedstawiał: «Tu jak Pan widzi, ten głęboki niebieski kolor gałki ocznej!»”¹¹. Z dalszego biegu rozpatrywanych wspomnień ze s. 129 dowiedzieć się można jak Wild przy pomocy Habera ratuje życie rosyjskiemu oficerowi zanosząc go do punktu sanitarnego, gdzie tamten we właściwym momencie otrzymał tlen ze wspomnianego aparatu Dräger-Tübden. Ciekawe, czy autorzy w takim samym świetle przedstawili by Habera jako człowieka bezwzględnego i pozbawionego uczuć, gdyby znali jego pełną biografię i treść listu do przyjaciela, napisanego tuż po powrocie na kwatery z pola walki 12 czerwca 1915 roku?

Podrozdział „Trzeci atak gazowy: 6 lipca 1915”

Z korzyścią dla faktów historycznych autorzy kolejny raz potwierdzili swój błąd ze s. 19. Tym razem (s. 26) z niemieckich opracowań zaczerpnęli informację o użytych w tym ataku 180 tonach chloru w 9000 butlach, z czego znowu wynika, że te ostatnie miały pojemność 20 kg, a nie 18 kg. Określili długość frontu, na jakiej doszło do trzeciego ataku falowego gazem: *wzdłuż 11-kilometrowego odcinka okopów od Woli Szydłowieckiej do Kozłowa Biskupiego*, a to nie współgra z rzeczywistą odległością pomiędzy wymienionymi wsiami, bo w linii prostej jest to 12,5 km, a „wzdłuż okopów” – 13,5 km. Nasuwa się więc pytanie, z jakiej mapy topograficznej korzystali autorzy? Po raz kolejny jest to swoista

dezinformacja, gdyż nie była to faktyczna szerokość wypuszczonej fali chloru, tylko odcinek, na którym związano walką przeciwnika. Natomiast przepisanie z niemieckiej książki daty ataku w postaci *6/7 lipca 1915 o godz. 9:45 wieczorem* bez przeróbki zapisu, wskazuje na brak inwencji autorów co do dostosowywania czerpanych wyjątków do własnego tekstu oraz umiejętności właściwego wyrażania pory dnia. W tym wypadku wszyscy wiedzieliby kiedy jest 21:45, natomiast wobec bezmyślnego użycia za niemieckim opracowaniem dziwnej daty 6/7 lipca, wbrew dacie „6 lipca” w tytule, myślę czytelnika. Po prostu w publikacji niemieckiej, w tym akapicie opisane były działania 6-7 lipca¹².

Autorzy pisząc o nawrocie gazu na pozycje niemieckie *między Borzymowem a rzeką Suchą* skracają aż o połowę sektor, w którym gaz się pojawił i dezinformują czytelnika brakiem współczesnego nazewnictwa geograficznego, na co wcześniej zwracałem uwagę (majątek ziemski Borzymów dziś nie istnieje, obecnie jest to zachodni skraj wsi Borzymówka). Rozlana już szeroko chmura gazu faktycznie powróciła na pozycje niemieckie od wzg. 95 (1,25 km na zachód od wsi Humin) po rzekę Suchą, czyli na 5-kilometrowy sektor. Wymieniając niemieckie pułki, które poniosły straty, autorzy nie określili dokładnie ich z nazw (taki sam numer mogło mieć kilka różnych jednostek!) co powoduje deformację faktów. I tak *I batalion 48 Pułku oraz III batalion 228 Pułku Rezerwowego* to pododdziały 48. rez. pp oraz 228. rez. pp. Dalej czytamy *Niemcy opuścili zagazowane pozycje, których jednak żołnierze rosyjscy, również rażeni gazem, nie zajęli*. Ponownie autorzy opisując niedokładnie i uogólniając fakty przekręcają wydarzenia z tego dnia. Całe szczęście, że podając straty osobowe, w niektórych miejscach dają zastrzeżenie „około”, ale w innym miejscu cytują z jednego źródła rosyjskie straty bez rozważnego zastanowienia się, czy liczby te są w ogóle realne. Faktem jest, iż niemieckie pułki na paru odcinkach czasowo porzuciły swe pozycje, a na innych żołnierze ruszyli do natarcia i napotkali opór – Rosjanie bronili się przez pewien

¹¹ M. Wild, *In geheimem Auftrag an der Ostfront*, Berlin 1931.

¹² O. Gebhardt, W. Neumann, *Geschichte des Reserve Infanterie Regiment Nr. 228*, b.m.w. 1933, s. 42.

czas, zanim obezwładniło ich wysokie stężenie gazu. Z kolei w kilku miejscach Niemcy zajęli puste okopy przeciwnika, ponieważ Rosjanie rozpoznając zagrożenie, w porę się wycofali. Niejasny dla czytelnika obraz sytuacji autorzy komplikują końcową informacją, że *niemieckie natarcie poprzedzające, na lewym skrzydle, załamało się*. Skoro było jakieś natarcie poprzedzające, dlaczego nic o nim nie wspomnieli na początku, a ponadto było ono na lewym skrzydle (czego?), czy załamało się lewe skrzydło tego natarcia? Niestety, na te i wiele innych pytań w recenzowanej pracy brak odpowiedzi.

Docenić trzeba wysiłek autorów za przytoczenie sprawozdania z prasy (s. 27), która jak widać z opóźnieniem poinformowała społeczeństwo o bolimowskim ataku gazowym w dniu 6 lipca 1915 r.

Podrozdział „Pełnia lata”

Wbrew tytułowi rozdziału i oczekiwaniom czytelnika podrozdział nie zawiera żadnych informacji o wydarzeniach na froncie wzdłuż Rawki po ostatnim ataku gazowym. Jest to tylko krótki, zdawkowy opis samego wycofania się sił rosyjskich 17 lipca 1915 r. z pozycji pod Bolimowem na przykładzie odcinka frontu (a dokładniej przyczółka) obsadzonego przez jeden z pułków niemieckich. Tekst jest przejrzysty, aczkolwiek nie grzeszy brakami, a mianowicie nie ma tam tak potrzebnych na tę okoliczność podstawowych informacji o wydanych rozkazach po obu stronach frontu oraz tego, gdzie się wycofali Rosjanie, w jakim kierunku wojska niemieckie *podjęły pościg*, i że szybko został zatrzymany. Powieściopisarskie starania autorów chwytają za serce: *pola i lasy poryte liniami okopów i podziobane lejami pocisków artyleryjskich*. Przywołują raczej upiorny klimat horroru o dziobiących ludzi na śmierć ptakach Alfreda Hitchcocka, gdyż autorzy natarczywie przypominają czytelnikowi o tym, iż *W okolicznych lasach, wsiach i na polach spoczęły dziesiątki tysięcy żołnierzy*. Co do wielkości strat obu stron nie wiadomo o jakich ograniczeniach źródłowych piszą autorzy, wspominając o statystyce, której nikt po prostu jeszcze rzetelnie nie

opracował i nie było skąd jej przepisać. *Wśród nich są setki, jeśli nie tysiące Polaków lub żołnierzy pochodzenia polskiego, którzy walczyli i ginęli na własnej ziemi w obcych mundurach*. Co do tego, że obecnie nie podtrzymuje się pamięci o tych ludziach, całkowicie się zgadzam. To samo stało się potem w przypadku Wehrmachtu i Armii Czerwonej, lecz zastanawiające jest, dlaczego o problemie pamięci o ginących w ten sposób naszych rodakach ciągle się mówi i tak natarczywie akurat tylko w tym pierwszowojennym kontekście?

Podrozdział dziewiąty „1915 – zakończenie walk nad Rawką”

Cała treść podrozdziału (s. 29-30) nie ma nic wspólnego z jego tytułem. Wyjaśnienie autorów o przyczynach odejścia Rosjan z nad Rawki w lipcu 1915 r. nie nasświetlają istotnych czynników i wydarzeń, które przyczyniły się do tego manewru armii carskiej. Według ich krótkiego przydrożnego wykładu chodziło o to, że armia ta była *zagrożona otoczeniem poważnych sił na Mazowszu i na Lubelszczyźnie*, dlatego *Naczelny dowódca wojsk rosyjskich (...) podjął decyzję znacznego skrócenia linii frontu*. Wynika z tego, iż siły rosyjskie na Podlasiu i Kielecczyźnie nie były zagrożone okrążeniem, a zmiana miejsca położenia i przebiegu linii frontu nie eliminowały groźby okrążenia? Dalej okazuje się, że Niemcy nie zdobyli Twierdzy Modlin, lecz Rosjanie *oddali ją po krótkiej walce*, a także *opuścili Twierdzę Dęblin*, mimo iż takowa nie istniała już od pięciu tygodni. Wydawać by się mogło, że podczas wojny ludzie tracą morale, a państwa terytoria, ale autorzy uświadamiają nam, iż inaczej było w Cesarstwie Rosyjskim podczas letniej ofensywy państw centralnych w 1915 r.: *armia traciła morale, a naród ogromne połacie terenu*. Potem autorzy uciekają daleko od Rawki i wybiegają daleko w przyszłość (od tzw. ofensywy Brusilowa w roku 1916 po walki na froncie zachodnim w latach 1916-1918).

Daruje sobie i Czytelnikowi komentowanie znajomości autorów przebiegu walk na froncie zachodnim, bo trzeba by było napisać nieco wyjaśnień i sprostowań, ale przywołując tytuł

brozury: tamte wydarzenia nie są jej tematem. Na s. 30 autorzy podjęli próbę nawet podsumowania pewnych wyników I wojny światowej. Według nich – w nawiązaniu zapewne do wulkanologii – była to *Erupcja konfliktu między Niemcami, Austro-Węgrami i Rosją* (s. 30). Pomimo, że całkowicie popieram przypominanie o losie Polaków w I wojnie światowej, którzy zmuszeni byli do udziału w bratobójczych starciach pod obcymi sztandarami, to nie sposób pominąć w tym przypadku pytanie, dlaczego akurat to narodowe nieszczęście jest w tym podrozdziale przez autorów tak wytrwale eksponowane? Czytelnik może przez to zapomnieć (a autorzy zapewne nic o tym nie wiedzieli), że nawet żołnierze tzw. polskich formacji wojskowych składali przysięgi na wierność przywódcom obcych państw, czyli dobrowolnie oddawali swe życie w imię obcych interesów. Tak przynajmniej było podczas Wielkiej Wojny nad Rawką 1914-1915, a wśród materialnych po niej pozostałości na pewno nie ma polskiej niepodległości, o której autorzy też nie omieszkali wspomnieć. To trudny i obszerny temat, wymagający przekazania czytelnikowi wielu informacji, zupełnie nie mających związku z tematem, jakemu miała być poświęcona recenzowana broszura. Dlatego pominię też sprawę precyzji przytoczonych przez autorów liczb poległych Polaków, jak też innych uczestników I wojny światowej.

Docenić i pochwalić trzeba ostatni akapit, a ściślej mówiąc zawarte tam przesłanie dotyczące ofiar wojny 1914-1918: *im wszystkim należy się pamięć, a ich szczątkom przynależna jest godność i nasz szacunek*.

Rozdział III „Żołnierze walczący nad Rawką 1914-1915”

W rozdziale tym autorzy chyba chcieli wywrzeć wrażenie na czytelniku kolorowymi fotografiami, tak jak czyni to wkładka z reklamami w środku czasopisma, żeby ożywić ponurą albo nudną treść sąsiednich artykułów. Dla uczestnika przydrożnej lekcji historii, nieobeznanego z barwą i bronią tego okresu, na pierwszy rzut

oka eksponaty z Muzeum Wojska Polskiego oraz rekwizyty zaczerpnięte z kręgów tzw. rekonstrukcji historycznej mogą wywierać wrażenie. Twórcom barwnych obrazków i opisów zapewne nie przyszło na myśl, że ich produkt mogą wziąć do ręki polscy specjaliści (kolekcjonerzy, historycy, muzealnicy itd.). Bez wyczytywania się w tekst natychmiast zauważą oni ogromną niewiedzę i wielką ilość błędów. Nie sposób ich wszystkich sprostować, bo wówczas byłaby to nie recenzja, lecz praca napisana za innych. Dlatego skupię się na wskazaniu głównych nieścisłości, rozpoczynając krótkim wprowadzeniem.

W drugiej połowie XIX w. w Europie przyspieszył rozwój nauki i techniki, a co za tym idzie – rozwój techniki wojskowej. Była doskonalona do wybuchu I wojny światowej, a podczas jej trwania prace intensyfikowano, aż do jej końca. Wpływ potrzeb wojennych powodował pojawianie się wielu rewolucyjnych rozwiązań w różnych dziedzinach nauki, które w okresie wojny były mu całkowicie podporządkowane. Liczne wynalazki i technologie znajdowały zastosowanie w wojsku dążąc, by szybka i tania produkcja pokrywała zapotrzebowanie sił zbrojnych na umundurowanie, uzbrojenie i wyposażenie, o których jest mowa w tym rozdziale. Temat jest skomplikowany, ale jednocześnie wystarczająco już uporządkowany przez badaczy – trzeba tylko znać z autopsji kulturę materialną omawianego czasu oraz towarzyszące jej rzetelne opracowania. Autorzy nie trzymają się żadnych zasad, mieszają terminologię i wprowadzają do niej nowe nazewnictwo, wreszcie wprowadzają w błąd czytelnika swoją nieumiejącą interpretacją danych, czerpanych z trudnych do ustalenia źródeł i opracowań, zapewne internetowych. Do tego wiele radykalnych tez stawianych na podstawie wyrwanych z kontekstu okoliczności, o których czytelnik nic nie wie.

I tak na s. 33 mamy porównanie kolorowej armii francuskiej z rosyjską i niemiecką: *umundurowanie ich żołnierzy było mniej rzucające się w oczy, przez co bardziej bezpieczne*. Owszem, kolorystyka taka ułatwiała zlanie się z otoczeniem w polu i z dalszej odległości sylwetki trudniejsze były do rozpoznania, co czyniło żołnierzy trud-

niejszymi do identyfikacji również przez własne oddziały. Jednak w żadnym razie nie czyniło to ich kuloodpornymi, a więc czy zapewniało bezpieczeństwo? Ponadto ignorując fakt przemundurowania armii francuskiej w 1915 r. w nowe wzory (m.in. zmieniono kolorystykę), autorzy ukazują czytelnikowi ten problem w zdeformowanej postaci. Podobnie jest ze stwierdzeniem autorów, że tzw. *sprzęt zastępczy* był *gorszy jakościowo*. Mylą pojęcia mniejszej trwałości materiału, z jakiego przedmiot był wykonany, i wprowadzanych do niego uproszczeń konstrukcyjnych z jakością użytkową. Wiele elementów np. oporządzenia (które wymieniają: bagnety, pasy, ładownice itp.) już długo przed wojną w różnych armiach były wykonywane z tańszych materiałów, które miały zastąpić np. drogą skórę i metale kolorowe. Były wykonane z materiałów pozwalających na szybką, masową i taną produkcję, ale nie z tandety o gorszych parametrach technicznych od swych poprzedników.

Na s. 33 zamieszczone zostały pierwsze trzy zdjęcia eksponatów, wykonane w sposób amatorski i nieudolny, które poziomem technicznym chwały autorom nie przynoszą. Wiele z fotografii ma cienie (zamieszczono nawet zdjęcia wykonane pod światło, z cieniami zasłaniającymi szczegóły), wykonano je w złej perspektywie tak, że nie widać przedmiotów. Do tego trzeba tu poruszyć sprawę ich treści i opisów. Na s. 33 widzimy coś, co zostało lakonicznie opisane jako manierki niemiecka i rosyjska. Nie dość, że autorzy pokazali tylko blaszane szkielety manierek bez pokrowców, zamknięć i zawiesi, zapomnieli poinformować czytelnika, iż są to konkretne wzory spośród używanych wielu innych. Z kolei opis fotografii wyliniałego, zapewne wyprodukowanego w 1915 r. tornistra *niemieckiego piechura z 1915 r.* mylnie sugeruje czytelnikowi, że jest to tornister wz. 1915 i niejako wmawia mu, że takiego żołnierza nie mógł mieć w roku 1914. Przy tych fotografiach znajdują się uzupełniające przydrożne wykłady historii, oba rozpoczynające się od przyjacielskiego zwrotu *Czy wiesz, że...* Pierwszy poucza nas o tym, że *rosyjskie manierki wojskowe wz. 1909 (jak ta obok) produkowano w Zakładach Brunner Szejder Ditmar*. Mogę za-

pewnić autorów, iż produkowano je także w innych fabrykach, a w tej nieudolnie przywołanej (z nazwy) firmie udziałowcami nie byli bohaterowie słynnego serialu „Stawka większa niż życie”. Poprawna nazwa wytwórcy to „Brjunier-Szilder-Ditmar. Warszawa”. Co się zaś tyczy tego *obok*, to na fotografii widnieje szkielet manierki wz. 1899. W drugim wykładzie dowiadujemy się, że *TORNISTER to niemiecka nazwa podręcznej torby*. Tymczasem jest to termin obcy, wprowadzony do języka niemieckiego. Geneza tego słowa na pewno nie mówi o *podręcznej torbie*. Określenie pochodzi z języka greckiego i oznaczało pierwotnie worek na karmę dla zwierząt. Po zniekształceniu w językach słowiańskich do formy „tani-stra”, słowo dotarło w XVIII w. do Niemiec.

W dole strony zamieszczone zostało podziękowanie autorów dla dyrektora i pracowników Muzeum Wojska Polskiego za udostępnienie ww. oraz innych eksponatów muzealnych. Odnieść można wrażenie, że autorzy broszury zamiast dokonać tego na początku swego dzieła lub pośród danych wydawniczych, „ukryli” w gąszczu małych bloków tekstowych tę informację, jakby się jej wstydzili. Może dlatego, że niektóre pokazane zabytki pod względem stanu zachowania nie są dobrą wizytówką zbiorów centralnej polskiej placówki muzealnictwa wojskowego.

Na kolejnych s. 34-35 mamy do czynienia z quasi-podrozdziałem zatytułowanym „Żołnierz niemiecki”, w którym zaprezentowana jest m.in. (w dwóch ujęciach, z przodu i z tyłu) takowa sylwetka, jak głosi podpis, odtworzona drogą zagranicznej rekonstrukcji historycznej i udostępniona do niniejszej publikacji. Tenże podpis informuje, że ma to być *żołnierz cesarstwa niemieckiego z 96. pp.* Ani on, ani nagłówek opisu sylwetki nie podaje najważniejszej informacji, iż w tym przypadku jest to żołnierz piechoty pruskiej z lat 1914-1915. Ponadto brak ważnego zastrzeżenia, że wiele widocznych elementów to obecnie wykonane kopie. Zajmę się tu głównie tymi punktami opisu, gdzie występują poważne błędy i szkodliwe niedomówienia. Czyli *de facto* niemal wszystkimi. Nie sposób znowu nie wspomnieć, że język użyty do opisu świadczy, iż autorzy w szerokim kontekście tak naprawdę

nie wiedzieli, o czym piszą. *Węlniane sukno, flanelowy materiał, szorstka strona skóry, ekwipunek przymocowany do pasa głównego, bagnet przymocowany do pokrowca saperki, szpikulec na wierzchołku hełmu* – wyraźnie o tym świadczą. Do tego podawanie niemieckich nazw, bez polskich odpowiedników albo z wymyślonymi, czyli „wpół po polsku, wpół po niemiecku”.

Z początkiem lekcji dowiadujemy się, że żołnierz nosił kurtkę *Waffenrock wzór 1907/10* – w ten sposób czytelnik nie może się dowiedzieć, iż jest to po prostu kurtka mundurowa wz. 1907/10. Na sylwetce nie ma *spodni Feldhosen tego samego wzoru*, lecz są spodnie polowe wz. 1907. Jako że koszula miała krój bez kołnierza, to *Przed otarciem szyi żołnierza chronił oddzielnie zakładany kołnierzyk*. W rzeczywistości chodzi o osłonę kołnierza kurtki przed szybkim zabrudzeniem, która fachowo nazywa się halsztuk wz. 1909. Był to rodzaj chustki z bawełny, co można łatwo odgadnąć tłumacząc z języka niemieckiego nazwę elementu (*Halsbinde*). Na głowie piechura *skórzany hełm (wz. 1895), nazywany Pickelhaube*. Był to rodzaj czapki skórzanej, przez Niemców rzeczywiście nazywany też hełmem, a po polsku bardziej fachowy odpowiednik to kaszkiet lub kołpak, zwieńczony szpicem, który nie pełnił roli wywietrznika, jak twierdzą autorzy, tylko osłaniał otwór wentylacyjny i miał być specjalnym akcentem, ułatwiającym rozpoznawanie własnych żołnierzy. Widoczny na hełmie pokrowiec noszony był tylko w polu i nosił wz. 1892, o czym autorzy nie wspomnieli czytelnikowi. Ukazany karabin Mauser wz. 98 nie pasuje do sylwetki, ponieważ jest to wersja produkowana po 1915 r. Oprócz tego przyczepiony do niego pas nośny został chyba zaadaptowany przez rekonstruktorów z jakiejś torby myśliwskiej lub dubeltówki. Prawdziwy pas czytelnik może natomiast zobaczyć na fotografii archiwalnej zamieszczonej na s. 32. Omawiany piechur ma na pasie głównym dwie ładownice wz. 1909, które według autorów mieszczą po 45 sztuk naboju do karabinu. Nie wiadomo, czy autorzy nigdy nie mieli w dłoniach takiej ładownicy, czy też przy zbieraniu materiałów do broszury korzystali z jakiejś nieczytelnej

strony internetowej, a może rekonstruktorzy pokazali im kupione tańsze lub wybrakowane. Ładownice z mojej kolekcji i wszystkie przeze mnie widywane oryginalne mają pojemność 60 nabojów. Według autorów pas główny podtrzymywany był tylko przez szelki tornistra. Owszem, ale tylko z przodu. Od tyłu był dodatkowo podtrzymywany dwoma specjalnymi hakami, wszytymi w kurtkę mundurową na wysokości nerek. Bagnet był noszony nie z tyłu tylko na lewym boku, unieruchomiony zapięciem pokrowca nie do jakiejś *saperki* (!), tylko łopatki piechoty wz. 1874 w skórzanym pokrowcu wz. 1909. Do pasa nie jest *przyczepiony chlebak i manierka*, ale zawieszony jest na nim chlebak wz. 1887 z przytrzoną za pomocą karabińczyka manierką wz. 1907. Autorzy twierdzą, iż żołnierz ma na sobie tornister wz. 1898, co nie jest prawdą. Na fotografii niedokładnie widać – jest to wz. 1895, ewentualnie ulepszony wz. 1907/13. Autorzy są w błędzie sądząc, że termin *plecak* oznacza to samo co *tornister*, gdyż tak go nazywają opisując dalej przytrzoną doń ekwipunek. Przytrzoną zrolowany płaszcz sukieny nosił wz. 1894 lub wz. 1908, a będąca przy nim płachta namiotowa nosiła wz. 1892. Ta ostatnia, z wymyśloną przez autorów nowo-polską nazwą *zelta*, oryginalnie w języku niemieckim była nazywana nie tylko *Zeltbahn*, ale też *Zeltplane*. Natomiast co do przytrzonej do klapy tornistra i malowanej na czarno aluminiowej menażki, autorom umknęło, że nosiła ona wz. 1910.

Kończąc opis sylwetki żołnierza, autorzy informują czytelnika, iż *Całość ekwipunku (bez karabinu) według regulaminu z 1907 roku powinna być ważyć około 13 kg*. Zagadką jest z jakiego regulaminu zaczerpnęli takie dane. Według niemieckiego podręcznika dla piechoty¹³, tylko ciężar spakowanego tornistra wynosi około 11 kg. Dla sprostowania, całość umundurowania i ekwipunku (bez broni i amunicji) ważyła nieco ponad 23 kg. Pod opisem sylwetki znajduje się jeszcze jedna ciekawostka – fotografia z podpisem: *Chlebak niemieckiego żołnierza*. Fotografia jest dostatecznie czytelna, by dostrzec, że jest to

¹³ *Dienstunterricht für den Infanterie*, Berlin 1915.

chlebak... austro-węgierski. Obok, na dole s. 35, znajduje się jedną fotografią bez opisu. Widzimy na niej pokrowiec na pickelhaubę szeregowego 141. pp z Grudziądza (Graudenz), który walczył nad Rawką-Bzurą i był wymieniany przez mnie w recenzji poprzedniego rozdziału.

Na s. 36-37 znajduje się drugi *quasi* podrozdział, którego zawartość określa nagłówek tytułowy *Żołnierz rosyjski*. Znowu zaprezentowana jest stosowna sylwetka drogą importu fotografii od zagranicznej grupy rekonstrukcyjnej, ale tym razem widok od przodu pokazuje pod ekwipunkiem umundurowanie letnie, a od tyłu zimowe. Podpis mówiący o źródle pochodzenia fotografii, informuje, że jest to *żołnierz carski z 71 Bielewskiego Pułku Piechoty*. Autorzy ponownie zapomnieli uświadomić czytelnika, iż większość przedmiotów pokazanych na figurach to współczesne kopie, a sylwetka to hybryda, gdyż nie wiadomo co miał na celu tzw. rekonstruktor, ukazując szeregowca piechoty pół-strzelca, pół-cekaemistę. Z nieznanego powodu, przy opisie tej figury autorzy nauczają skromniej niż przy poprzedniej, bo znacznie częściej umyka im z jakich wzorów składa się pokazane tam umundurowanie i ekwipunek. Z przykrością muszę przyznać, iż wizerunek osobnika „carskiego” jest gorzej opracowany od osobnika „pruskiego”, ale bez wątplenia można zaliczyć go do kolejnych przydrożnych sukcesów polskiej archeologii, a zwłaszcza etnologii.

Już na początku autorzy usiłują nas nauczyć, że *żołnierz rosyjski miał na sobie płócienną, wkładaną przez głowę koszulę mundurową (rubachę) zapinaną na 4 guziki [...], która w początkowym okresie wojny nie miała żadnych kieszeni. Spodnie z tego samego materiału wpuszczane były w buty skórzane z cholewami*. Tłumacząc te zdania na język polski, autorzy chcieli powiedzieć, iż szeregowy armii rosyjskiej miał mundur z jednolitego materiału, a składał się on z kalesonów i odświętnej koszuli do cerkwi. Należy zatem wyjaśnić, że Rosjanie w roku 1912 wycofali się ze stosowania w piechocie klasycznego munduru w formie „kurtki”, i powrócili do wcześniej używanej tzw. koszuli gimnastycznej (gimnastiorka), którą

poprawnie mianuje się „bluzą”, a nie *koszulą mundurową*, bo ta nazwa jest zarezerwowana dla koszul noszonych np. przez oficerów pod kurtką z wykładanym kołnierzem. Bluzy wz. 1912 szyto z sukna i płótna lnianego. Kolejna zmiana nastąpiła rok później: do bluzy lnianej w komplecie znalazły się spodnie wz. 1913 tzw. skrócone z sukna. Wariant lniany był wydawany do rozchodowania zapasu. Cechą charakterystyczną rosyjskich spodni były wąskie nogawki, a osobnik na fotografiach został ubrany w jakiś wybrakowany produkt rekonstrukcji o baloniastych nogawkach, przypominających tureckie pantaloney. Wbrew temu co wymyślili autorzy, pojawiła się również bluza wz. 1913, która miała kieszenie na piersi i od razu była wprowadzona do użytku. Zwieńczeniem żołnierskich sylwetek były według autorów *sukienne czapki polowe (furażka) z krótkimi daszkami*. Można odnieść mylne wrażenie, że istniały jeszcze jakieś czapki z daszkami długimi, zatem wyjaśniam, iż chodzi po prostu o czapkę wz. 1907 z płótna lnianego, którą w 1913 r. zastąpił wariant szyty z sukna – wariant lniany wydawano do rozchodowania zapasu, a tuż po wybuchu wojny produkcja wariantu sukienego zaczęła zanikać na rzecz powrotu do lnu. Ponadto autorzy zapomnieli nam powiedzieć o obowiązku noszenia w polu na czapce pokrowca. Lakonicznie opisane buty mogły być kilku wzorów (1899, 1906 lub 1908), ale patrząc na to co ma na nogach uwieczniony na fotografiach rekonstruktor, te niewiele mają z nimi wspólnego.

W razie potrzeby żołnierz chodził w *plaszczu zimowym (szynelu, który lepiej od niemieckich plaszczy maskował żołnierza w terenie) i czapce zwanej „papachą*”. Na fotografii nie widać wyraźnie jakiego plaszcza miała być to kopia, ale chyba nie był to powód, żeby milczeniem pominąć jego wzór. Używano wzorów 1881 oraz 1911, lecz żołnierze walczący nad Rawką mieli w nich naramienniki wszyte na stałe, a nie jak te widoczne – przypinane, zupełnie jak noszone potem przez żołnierzy sił zbrojnych Związku Sowieckiego. Nad Rawką żołnierze nosili charakterystyczną zwężającą się ku górze składaną czapkę zimową ze sztucznym futrem jagnięcym wz. 1910, nato-

miast na sylwetce widać karykaturę takiej papacy – przy zachowaniu okrągłego narysu otok z futra rozszerza się ku górze i nie wystaje ponad niego sukienny kołpak. Ciekawe, skąd tym razem autorzy zaczerpnęli wiadomość o wyższości płaszcza rosyjskiego nad niemieckim pod względem maskowania? Może mieli okazję przyglądać się „rekonstrukcji historycznej” zimą i przeprowadzili sondaż wśród publiczności, która w ankiecie stawiała krzyżyki za i przeciw? Dalej, na plecach zimowej sylwetki widnieje *basztyk* (rodzaj sukiennego kaptura z długimi szalikowymi „uszami”). Chodzi o charakterystyczny kaptur z ramionami wz. 1881. Autorzy też zapomnieli dodać, że był to komplet do letniej czapki wz. 1907 (wz. 1913), natomiast w sposób nieregularny używano go czasami wraz z papachą wz. 1910 (po opuszczeniu otoku na szyję osłaniała głowę podobnie jak kaptur, toteż był on zbędny). Jednak widniejąca na fotografii kopia basztyka to egzemplarz wybrakowany, albo nie jest to wariant dla szeregowego piechoty, ponieważ w oryginale taśma stosowana do naszycia na krawędzie i szwy nie była biała, lecz w kolorze zbliżonym do barwy sukna.

Przejdźmy teraz do ekwipunku, ale od razu zastrzec należy, iż w tym przypadku autorzy nadal nie bardzo wiedzieli o czym piszą. W tym względzie z wykładu dowiadujemy się, że na piersi *żołnierz nosił przewieszony dodatkowy pas z amunicją do karabinu (patrontasz) (na zdjęciu model „gwardyjski” wz. 1900, mieszczący 30 naboji)*. W języku polskim jest to po prostu ładownica określana wyrazem pochodzenia obcego „bandoliera”. „Gwardyjskość” tej ładownicy jest wymysłem autorów – był to wzór ogólnowojskowy dla wszelkiej piechoty. Enigmatycznie jest wspomniana obecność na sylwetce zrolowanej *plachty namiotowej*, troczonej to tu to tam do marszu, a wraz z nią *drewniany składany maszt [...] i również drewniane śledzie*. W rzeczywistości chodzi o płachtę namiotu polowego (jej ostatnia modyfikacja pochodziła z roku 1909), do którego w komplecie oprzyrządowania była jeszcze linka, pominięta, a przecież dobrze widoczna na opisywanej fotografii. Na żołnierzu *przewieszona była*

zapasowa torba na amunicję (zapasna patrona sumka), wzór 1893. Oczywiście autorzy chcieli powiedzieć nam o ładownicy zapasowej, tylko mieli trudności z przetłumaczeniem tekstu rosyjskiego. Następnie na sylwetkach został zidentyfikowany *skórzany pas główny z klamrą z carskim orłem [który] podtrzymywał ładownicę, model 1909, z 20 nabojami (zwykle noszono 2 ładownice, ale regulamin dopuszczał też noszenie jednej – po prawej stronie)*. Na fotografii widać pas koloru nie brązowego tylko czarnego, na dodatek ma jakieś szwy wykonane białą nicią, zatem nic nie ma wspólnego z ekwipunkiem rosyjskim. Może wybrakowany, może zdobyczny, a może pamiątka z wizyty zagranicznych rekonstruktorów u zaprzyjaźnionych innych zagranicznych rekonstruktorów? Na ten pas z klamrą z wizerunkiem – prawidłowo herbu państwowego – nawleczona jest ładownica wz. 1892. Przy okazji znowu ujawniają się u autorów kłopoty z rachunkami, albo byli pod wrażeniem relacji rozgorączkowanych rekonstruktorów, którym podczas zabawy w wojnę wydano po 20 ślepych naboju. Prawdziwa ładownica ma pojemność 30 naboju. Owszem czasami noszono jedną ładownicę, ale tylko na warcie i przy konwojowaniu, lecz wówczas nie było mowy o noszeniu pełnego ekwipunku, a taki zestaw ma prezentowana sylwetka. Chodzi o to, że w polu noszono ładownice mieszczące przydziałową jednostkę ognia, i w tym tkwi problem. Pokazana sylwetka ma na naramiennikach znak przynależności żołnierza do pułkowego oddziału karabinów maszynowych, a oni nosili przy sobie tylko 30 naboju. Dalej nic się już nie zgadza – nie powinno być ani bandolier, ani ładownicy zapasowej. Do tego uzbrojeniem indywidualnym szeregowych oddziału ckm był karabinek wz. 1907, a przy sylwetce jest... No właśnie, w opisie autorom umknęła obecność przy sylwetce karabinu piechoty Mosin wz. 1891. Wisi na nim dziwny pas, przypominający ten od dubeltówki z sylwetki żołnierza pruskiego, zatem może być to prezent od przeciwnika uzyskany w czasie rekonstrukcji wigilijnego spotkania na ziemi niczyjej, o którym wcześniej pisali autorzy.

Zostawmy ten problem, bo oto okazuje się, że *Rosyjski żołnierz*, [...] z wyjątkiem pułków gwardyjskich nie był wyposażony w klasyczny plecak. Tę rolę spełniała torba przewieszona przez ramię, zwana «wieszcznoy mieszok» (tu model 1910, który po specjalnym przełożeniu pasa nośnego mógł być noszony również na plecach). Wszyscy, którzy do czasu tej lekcji przydrożnej sądzili, że w roku 1914 podobnie jak w gwardii, artylerzyści i saperzy armii rosyjskiej używali klasycznego tornistra, już wiedzą, że byli w błędzie. *Wieszcznoy mieszok* (!) to pojęcie ogólne, przypisane różnym wzorom nazwijmy to umownie „plecaków”, a uniwersalny typ pokazany na sylwetce, w języku polskim nazywa się plecako-torba. Dostosowanie do jednego z dwóch sposobów noszenia następowało nie przez przełożenie pasa nośnego, lecz przez zmianę konfiguracji dwóch pasów nośnych. Pochwała należy się autorom za przekazany czytelnikowi spis przedmiotów noszonych w plecako-torbie, ale z tym ładunkiem około 2,5 kg sucharów odrobinę przesadzili. Jak sami zauważyli, na sylwetce widoczna jest duża torba amunicyjna na 90 naboju lub podobnego kroju «sucharnyj mieszok», czyli chlebak. Torba do przenoszenia dodatkowych naboju pojawiła się dopiero w listopadzie 1915 r., czyli jak wynika z treści broszury, nie może mieć związku z wydarzeniami wojny nad Rawką. Przyjmijmy zatem, że na sylwetce jest jednak chlebak wz. 1909 i tylko on mógł służyć do przenoszenia takiej pokaźnej porcji sucharów. Autorzy dostrzegli na sylwetce manierkę ledwie widoczną, ale tym razem nie mieli kłopotu z identyfikacją typu: *model 1899 lub 1911*. Niestety dalej przestali sobie radzić do tego stopnia, że według nich *na pasie żołnierz nosił saperkę*. Ewentualnie na nogach można nosić saperki, a w tym przypadku autorzy zamierzali nam powiedzieć o łopacie piechoty wz. 1878, nawet jeśli widoczna na sylwetce, noszona w pokrowcu skórzanym, stanowiła wz. 1882. Autorzy nie zapomnieli o obecności *kociołka do gotowania*, ale nie wiadomo dlaczego uczą, iż tylko używano kociołków miedzianych i aluminiowych. Nie chcę ich martwić, ale już przed początkiem wojny wśród wyposażenia rosyjskiego były też kociołki stalowe.

Dodatkiem do fotografii sylwetek i ich opisu są umieszczone na dole trzy zdjęcia eksponatów z Muzeum Wojska Polskiego. Na jednym są *Rosyjski miedziany kociołek żołnierski wraz z manierkami* (pokazano kociołek wz. 1882 i szkielety manierki wz. 1885 oraz wz. 1899), na drugim (bez podpisu) widnieje czapka szeregowego wz. 1913 pozbawiona godła, a ostatnie pokazuje *klamrę do pasa rosyjskiego żołnierza z przed 1907 r.*

W dalszej części rozdziału III autorzy usiłowali porównać uzbrojenie armii rosyjskiej z dysponowanym przez armię niemiecką. Próba przedstawiania czytelnikowi podstawowej broni ówczesnego żołnierza, jaką oczywiście był karabin, rozpoczyna się charakterystyką niemieckiego modelu (s. 38). Na wstępie czytamy, iż *Niemcy używali karabinu Mauser 98 (Gewehr 98)*. Przede wszystkim fachowo i gramatycznie byłoby powiedzieć czytelnikowi, iż wojsko niemieckie było uzbrojone w karabiny systemu Mausera wz. 1898 (niem: *Gewehr 98*). Bardzo interesujące jest to, o jakich *współczesnych specjalistach* piszą dalej autorzy? Powołując się na ich opinię, ponoć była to *najlepsza indywidualna broń strzelecka, masowo używana na przełomie XIX i XX wieku*. Zapewne nie byli to specjaliści od bronioznawstwa, a raczej ponownie od współczesnych rekonstrukcji historycznych, ponieważ przez pojęcie indywidualna broń strzelecka rozumiemy długą i krótką (karabiny, karabinki, pistolety i rewolwery), którą reprezentuje wielka liczba konstrukcji i systemów opracowanych od drugiej połowy XIX w., przy czym wiele z nich to bardzo dobre, udane wzory broni, dziś już zapomniane. Czy to znawcy tematu, czy autorzy winni byli wyraźnie sprecyzować, o jaką tu klasę broni chodzi i jakiego kontekstu dotyczy cytowana opinia. Chodziło im o najlepszy karabin powtarzalny wśród niemieckich, czy może o najlepszy z masowo używanych w Europie? Czy można mówić o Mauserze, że *miał nieskomplikowaną budowę i był łatwy w obsłudze [...] Przy czym, ze względu na dokładne wykonanie i dopasowanie części, wymagał bardziej wyrobionego technicznie żołnierza, rozumiejącego potrzebę utrzymywania broni w czystości?* Po pierwsze miał ponad 70 części składowych! Dokładność wykonania nie ma żadnego związku

z kulturą techniczną użytkownika, natomiast autorem chodziło zapewne o ścisłe pasowanie części, co było wadą tej broni, bo przez to stawała się zbyt czuła na zanieczyszczenia.

Szybkostrzelność 12 strzałów w ciągu jednej minuty, jaką podali autorzy, jest błędna gdyż było to 15 strzałów. Ponadto przedstawione dane techniczne nie charakteryzują broni w sposób prawidłowy: długość powinna być podana w milimetrach (a nie w metrach), ciężar (a nie waga!) musi mieć zastrzeżenie, czy z bagnetem, amunicją i pasem, czy bez nich. Wśród danych technicznych autorzy pominieli kilka istotnych informacji: rodzaj naboju, prędkość początkową pocisku i skuteczną donośność strzału, a wiedza w tym zakresie była nieodzowna na polu walki.

Do karabinu Mauser 98 przyjęto bagnet wz. 1898, z głownią nie nożową, jak twierdzą autorzy, lecz o specyficznej mieszanej konstrukcji nożowo-kłującej. Mylą oni czytelnika w szerokim kontekście twierdzeniem, że zamiennikiem tego bagnetu był krótszy wz. 98/05. Żeby publiczność zrozumiała tę lekcję przydrożną, należało dopisać kilka zdań komentarza, co można było uczynić, gdyż na recenzowanej stronie pozostało sporo wolnego miejsca. Otóż zrezygnowano z zastosowania nowatorskiego bagnetu wz. 1871/84 o krótkiej nożowej głowni długości 250-255 mm. Przyjęta broń miała być odpowiedzią na francuski karabin Lebel wz. 1886 oraz rosyjski Mosin wz. 1891 – oba z długimi bagnetami do kłucia, nie dającymi Niemiecemu piechurowi wielu szans na sukces w starciu wręcz. Szybko okazało się, że konstrukcja bagnetu wz. 1898 nie była udana. Już podczas nauki fechtunku, głownie się wyginały i łamały, a podczas bieganina skórzana pochwa wchodziła do cholewy buta albo łamała się przy siadaniu i czołganiu. Próbowano to zmienić bagnetem wz. 1884/98 o długości głowni 250 mm, lecz on również nie spełnił wymogów i nie znalazł szerokiego zastosowania. Owszem, jak wspomnieli autorzy, został też wprowadzony ulepszony bagnet wz. 1898/05 o głowni nożowej długości 367-370 mm, który nie dorównywał długością francuskiemu, ale był dłuższy od dwóch poprzednich własnych wzorów. Ten jednak model przeznaczony był dla artylerzystów i zapewne nie był często widywany nad Rawką.

Opisujący bagnety, w które był wyposażony karabin Mauser 98, autorzy zapomnieli wspomnieć czytelnikowi, że podczas walk nad Rawką w roku 1915 niemieckie jednostki miały wiele ich wzorów. W tym względzie naświetle najważniejsze fakty. Doświadczenia pierwszych miesięcy walk i rozwijającej się wojny pozycyjnej potwierdziły nieporęczność bagnetu wz. 1898 (utrudniały poruszanie się) i biorąc też pod uwagę już wspomniane mankamenty, szybko zostały wycofywane z oddziałów pierwszoliniowych. Mając na względzie też straty bagnetów, zastępowano je innymi wzorami, między innymi wz. 1914 oraz od wiosny 1915 r. licznymi tzw. zastępczymi. Na początku 1915 r., kiedy niemiecka armia zaczęła odczuwać braki zaopatrzenia w karabiny, z arsenałów wydawano również starsze wzory broni z przynależnymi do nich bagnetami.

Piszący ostatnie zdanie akapitu o bagnetach znowu wykazali się wyjątkową zdolnością do gmatwania swych tekstów, za którym ukrywają niewiedzę i nie trzeba tu być znawcą tematu, aby stwierdzić wadliwość opisu. Oczywiście zaprzecza to dydaktycznemu celowi *przydrożnych lekcji historii*, wg których bagnety wyposażone były w: *okładziny zapewniające pewny chwyt i w przycisk umożliwiający szybkie zdjęcie z broni*. Otóż bagnet niemiecki, np. wz. 1898, składa się m.in. z rękojeści, która ma dwie okładki z drewna, lecz to nie one zapewniały pewny chwyt, a czyniło to ergonomiczne wyprofilowanie rękojeści do kształtu ludzkiej dłoni. Sam przycisk niczego nie umożliwiał, ponieważ jest tylko częścią składową zatrzasku usytuowanego w głowicy rękojeści bagnetu. Przez nacisk palcem na główkę zatrzasku zmieniało się położenie zęba zatrzasku, dzięki czemu zwalnia się blokada osadzonego bagnetu i można go odłączyć od karabinu. Przypisać można raczej piszącym, że bagnety niemieckie począwszy od wz. 1871 można było używać osobno bez karabinu jako broń do walki wręcz, ale gdyby była to w pełni prawda, w dalszym przebiegu wojny nie pojawiłyby się u żołnierzy wprowadzane specjalnie do tego celu noże wojskowe.

Tuż pod opisem broni widoczna jest fotografia karabinu Mauser 98 bez pasa nośnego z założonym bagnetem wz. 1898, źle wykonana, więc

przedstawiająca jego karykaturę. Zaraz pod nią widać wyraźniejsze zdjęcie centralnego fragmentu karabinu z odciągniętym zamkiem, mające demonstrować ładowanie broni nabojami z łódki, a obok leży ładownica wz. 1909. Opis ilustracji jest prawidłowy, szkoda jednak, że nie informuje odbiorcy o liczbie nabojów w łódce – jest ich 5 sztuk.

Na ostatniej ilustracji (niedoświetlone dwa eksponaty z MWP), według opisu autorów nie ma tam bagnetu wz. 1898, którego przecież istnienie zaakcentowali, lecz jakiś nieokreślony bagnet do karabinu wz. 1898. Drugi przedmiot to, owszem, pistolet systemu Mauser wz. C 96, ale rodzi się pytanie, dlaczego został pokazany czytelnikowi? Broń ta nie występowała w uzbrojeniu armii niemieckiej podczas walk nad Rawką. Tak więc autorzy swą niedostateczną wiedzą po raz kolejny wprowadzają w błąd czytelnika. A tak w ogóle, znając zasoby Muzeum Wojska Polskiego i wiedzę jego pracowników, mogli przecież sfotografować inne, adekwatniejsze na ten okres rewolwery, czy też przede wszystkim wprowadzony w 1908 r. jako standardowe uzbrojenie armii cesarskiej pistolet Luger 08. Ponadto, gdyby ktoś pomyślał robiąc skład strony 38 (i sąsiedniej 39), wobec uboższego tekstu można było nie robić pustych powierzchni na korzyść większych zdjęć, dzięki czemu czytelnik bez lupy dokładniej by się zapoznał z bronią używaną w walkach nie tylko nad Rawką.

Efekty podjętej w dalszej kolejności (s. 39) próby scharakteryzowania i zilustrowania karabinu wprowadzonego do uzbrojenia armii carskiej przerosły przyrodne zdolności pedagogiczne autorów. W nazewnictwie karabinu brakuje wyrazu „wzór”, natomiast za rokiem go określającym w nawiasie podano nazwę systemu, zamiast jak uczynili to autorzy wobec Mausera, nazwy w rodzimym języku. Poprawnie nazwa brzmi: 7,62 mm karabin piechoty wzór 1891 (systemu Mosina) (w jęz. rosyjskim: *3-ch liniwnaja piechotnaja wintowka obrazca 1891 goda, sistiemu S. I. Mosina*), a nie systemu „Mosin-Nagant”. Dalej mamy niezrozumiałą inwencję twórczą przy ocenie broni, która ponoć była *wytrzymała na frontowe warunki oraz «życzliwa» nawet prostemu żołnierzowi Wielkiej Wojny.*

Co autorzy mieli na myśli pisząc: *frontowe warunki*? Broń musi spełniać narzucone warunki taktyczno-techniczne, aby być m.in. sprawną mechanicznie i wytrzymałą materiałowo na polu walki, ale przez nieprecyzyjne wyrażanie się czytelnik może błędnie zrozumieć, że broń musi być wytrzymała na skutki np. frontu atmosferycznego. Poza tym, czy wcześniej tak wychwalony niemiecki Mauser wz. 98 nie był wytrzymały? Czy przedmiot służący do zabijania może być *życzliwy*? Ku wyjaśnieniu, w żadnym leksykonie czy encyklopedii wojskowej w hierarchii wojskowej nie istnieje termin *prosty żołnierz*, natomiast był rekrut, poborowy albo ochotnik, którzy przechodzili przeszkolenie wojskowe i stawali się żołnierzami. Jak w każdej armii na świecie – po prostu niektórzy z nich mogli wykazywać trudności w obchodzeniu się z bronią strzelecką bo byli niedoszkołeni, pozbawieni zdolności manualnych lub wykazywali niską kulturę techniczną, ale to nie oznacza, że byli *prości*.

Skutkiem notorycznego deficytu wiedzy autorów, błędów logicznych i językowych, w kolejnym zdaniu dowiadujemy się, że rosyjski karabin miał *z uwagi na nieco trudniejszy sposób ładowania amunicji, mniejszą szybkostrzelność – 10 strzałów na minutę*. Zatem według autorów rosyjski karabin miał inny sposób ładowania niż niemiecki. Otóż, oba systemy karabinów są ładowane identycznie i mają porównywalną szybkostrzelność nieefektywną dochodzącą do 15 strzałów na minutę. Natomiast o tym rzekomo trudnym (skomplikowanym) ładowaniu autorzy piszą w dwóch miejscach na omawianej stronie, bo również w opisie środkowego zdjęcia. Ich zdaniem było ono tak trudne ponieważ *naboje były umieszczone w ładowniku, który trzeba było ręcznie usunąć przed zamknięciem zamka*. Po pierwsze, autorzy broszury nie umieją rozróżnić łódki od ładownika. Gdyby nawet naboje systemu Mosin były zebrane w ładowniku, to takowy załadowuje się w całości do magazynka karabinu, skąd samoczynnie jest usuwany po wystrzeleniu wszystkich nabojów. W karabinie Mosin wz. 1891 ładowanie odbywało się z łódki identycznie jak w karabinie Mauser wz. 1898. Zapewniam czytelników, że kwestia konieczności wyjęcia

pustej lódki palcami przed zamknięciem zamka, co zbędne jest w Mauserze, nie komplikuje strzelania i nie ma żadnego wpływu na redukcję szybkostrzelności, gdyż czynność ta zabiera najwyższej sekundę. Dane techniczne przytoczone przez autorów nie są pełne i jak w poprzednim opisie Mausera, również niedokładne. I tak przy długości 1288 mm powinni zaznaczyć, że podana wielkość nie wlicza bagnetu, ciężar również został podany bez bagnetu, ale wynosił nie 4,2 kg lecz 4,1 kg.

Do karabinu Mosin wz. 1891 wprowadzono bagnet tulejowy wz. 1891 z głownią długości 435 mm, mocowany u wylotu lufy przez nasunięcie na nią jego tulei, którą potem obracano tak, aby odpowiednio wycięcie zaczepiło o muszkę. Pierścień, o którym autorzy nie zapomnieli, to bezpiecznik owego mocowania, zwanego zresztą w technice „bagnetowym”, a nie jakieś tajemnicze zabezpieczenie tulei jak sugerują. Słusznie zauważyli autorzy, że bagnet ten służył do klucia, ale jego głownia nie jest zakończona *czubkiem* (!) tylko sztychem. Kształt sztychu jest zbliżony do zakończenia śrubokręta, lecz ten fakt nie ma nic wspólnego z głośzonym przez autorów zastosowaniem do rozbieraniem karabinu. Polecam im lekturę rosyjskiej instrukcji tej broni lub podręczników szkoleniowych dla piechoty – do rozbierania służył wkretak, znajdujący się w przyborniku kompletowanym do każdego karabinu. Stwierdzeniem, że do walki wręcz od bagnetu *Bardziej poręczna okazywała się saperka*, autorzy znowu wykazali nieznaną rzeczywistość wydarzeń nad Rawką – żaden żołnierz nie ściągał z nogi buta żeby okładać nim przeciwnika! Natomiast świetnym narzędziem do walki bliskiej była łopatką piechoty. Oprócz tego, twórcy broszury charakteryzując bagnet do karabinu Mosin przekazali czytelnikowi bezpodstawne i językowo niepoprawne twierdzenie, że *żołnierze nie mieli pochew na te bagnety*. Gdyby nawet, to raczej „pochew do tych bagnetów”. W armii carskiej były oczywiście w użyciu pochwy do tychże bagnetów: ze skóry, z dolnym metalowym okuciem zakończonym leżką, ze zintegrowaną tzw. żabką (rodzaj szerokiej szlufki), która przez nasunięcie na pas główny pozwalała na noszenie bagnetu po zdjęciu z karabinu.

Z powodu oszczędności skóry i innych surowców, od końca 1914 r. produkcja pochew zaczęła zanikać, ale aż do końca walk nad Rawką bagnety w pochwach nie były ewenementem w wojsku rosyjskim.

Dwie z trzech ilustracji zamieszczonych pod opisem karabinu Mosina są złej jakości i zniekształcają jego sylwetkę. Ostatnia fotografia, zaciemniona i mała, pokazuje trzy eksponaty, z których środkowy to *granat ręczny RG12*. Najwidoczniej autorom pomyliły się wojny światowe, ponieważ dwuliterowy skrót nazwy „rucznają granata” pojawił się dopiero w Armii Czerwonej, a prawidłowa nazwa sfotografowanego przedmiotu powinna brzmieć: *granat ręczny wz. 1912 systemu Rdultowskiego*. Powinna, gdyż ów eksponat nie bardzo go przypomina, bo jako owoc jakiejś archeologicznej rekonstrukcji ma zamiast prawdziwej rękojeści, wetkniętą rączkę zrobioną z trzonka od klozetowej szczotki. Umieszczony obok fotografii dodatek przydrożnej korepetycji z cyklu *Czy wiesz że...* przekazuje czytelnikowi fałszywą wiadomość, jakoby w Wojsku Polskim zmodyfikowane Mosiny były w czynnym użyciu do lat 80. XX w. W rzeczywistości karabinek Mosin wz. 44, jako przestarzała broń powtarzalna, został wycofany z linii w końcu lat 60. i tylko sporadycznie był wykorzystywany do celów szkoleniowych do początku lat 70. Na zakończenie porównania karabinu Mauser wz. 1898 z Mosinem wz. 1891 chcę zwrócić uwagę na to, co milczeniem pominęli autorzy broszury. Karabin Mosin był prostszy w budowie (składał się z ponad 40 elementów), miał luźne pasowanie części, dzięki czemu nie wymagał częstego i precyzyjnego czyszczenia, broń ta była składna i dobrze wyważona, miała mały odrzut, i zapewne dlatego zgodnie z przydrożną retoryką autorów, powinna być gorsza od Mausera 98.

Dalszym problemem jakim zajęli się autorzy jest konfrontacja ilości i jakości uzbrojenia armii niemieckiej z uzbrojeniem armii rosyjskiej. W pierwszym zdaniu (s. 40) autorzy pragnęli chyba za wszelką cenę utrzymać iluzję swej wiarygodności zwrotem *Armia rosyjska – jak wynika z dokumentów*, co z pewnością usypia czujność odbiorcy wykładu, który nie zdaje sobie sprawy,

iż przedstawiony mu zbiór informacji jest mieszaniną wiadomości wyrwanych z kontekstu i zdeformowanych, czyli dezinformacją. Oczywiście autorzy nie korzystali z żadnych materiałów źródłowych, a po prostu przepisali to i owo z opracowań lub Internetu, na dodatek w sposób nieumiejętny. Chaos tej lekcji pogłębia brak informacji o podstawach struktury organizacyjnej obu armii, gdyż bez tego czytelnik nie zdaje sobie sprawy choćby z tego, że w poszczególnych armiach i jeszcze w zależności od rodzaju wojsk i przeznaczenia, baterie artylerii miały różną liczbę dział. Ponadto niczemu nie służy statystyka typu: jeśli jeden spragniony ma litr wódki, to razem z napotkanym kolegą mają po pół litra na głowę, gdyż akurat ten kolega nie musi być zaproszony do wspólnego spożycia.

Widać to wszystko w dalszej części wyżej cytowanego pierwszego zdania: *miała na jedną dywizję 6 baterii lekkich dział (76,2 mm) i 1 baterię lekkich haubic. Podczas gdy armia niemiecka – na jedną dywizję miała 14 baterii, tj. 12 lekkich dział 7,7 cm [77 mm] i 2 baterie ciężkich haubic 10,5 cm [105 mm]*. Na jaką dywizję i kiedy? Czytelnik może się domyśli, że piechoty, ale nie domyśli się, że statystyka jest nieprawdziwa. Wystarczyło podać, że na początku wojny rosyjska dywizja piechoty miała w swym składzie etatowym wsparcie artyleryjskie liczące 48 armat polowych i 12 haubic polowych, natomiast niemiecka odpowiednio 54 i 18 luf (nie ciężkich haubic, ale 105 mm haubic polowych wz. 98/09!). Natomiast autorzy pominęli istotne fakty dotyczące wsparcia piechoty artylerią ciężką. Po rosyjskiej stronie ta była dopiero w stadium organizacji i z początkiem wojny istniało tylko skromne wsparcie szczebla korpuśnego (12-działowy dywizjon na dwie dywizje). Po stronie niemieckiej to wsparcie zapewniała liczna tzw. artyleria piesza, przydzielana na rozkaz do określonych zadań jednostkom różnego szczebla. I tak w tej niejasnej dla czytelnika kwestii, autorzy w drugim zdaniu przekazali mu wyrwaną z kontekstu statystykę *Rosja na początku wojny miała 60 baterii ciężkich dział, zaś Niemcy 381 baterii*. Problem w tym, że pierwsza liczba to stan na 2 sierpnia 1914 r., a druga liczba – na 1 stycznia tegoż roku.

W chwili wybuchu wojny niemiecka przewaga była jeszcze większa.

Co do zaopatrzenia tej artylerii w amunicję, autorzy z nieznanых powodów ograniczyli się do wzbudzającej zapewne ich ubolewania rosyjskiej statystyki dotyczącej armat polowych: *Na początku wojny na jedno działo 76,2 mm przypadało 6400 pocisków, podczas gdy – według obliczeń rosyjskiego sztabu dokonanych już w czasie wojny – rocznie, na jedno działo potrzeba było aż 42000 pocisków*. Jakiego sztabu? W jakim czasie zakładano rozchodowanie zapasu? Co mają do siebie liczba amunicji istniejącej i zmagazynowanej do liczby teoretycznie potrzebnej w innym czasie? Co ma zapas mobilizacyjny do zdolności produkcji po przejściu na stopę wojenną? W jakiej armii udało się dokładnie wyliczyć realne zapotrzebowanie w czasie trwania przyszłej wojny? Czytelnik musi znać odpowiedzi na te i inne pytania, aby zrozumieć treść tego jednego zdania, a ponadto warto było go uświadomić korepetycją typu *Czy wiesz, że...?* w zaopatrzeniu artylerii w amunicję rozpatruję się nie pociski (bo same do niczego nie służą) tylko liczbę strzałów, czyli odpowiednie komplety ładunków miotających, zapłonników, zapalników itd. Żeby podsumować te za każdym razem potrzebne kilkanaście zdań komentarza do kilku zdań broszury, trzeba zaznaczyć, iż autorzy w żaden sposób nie odnieśli się do artylerii użytej w bojach nad Rawką 1914-1915, ani do materialnych po niej pozostałościach.

Po artylerii autorzy powrócili do uzbrojenia strzeleckiego. Karabin zapewne był w I wojnie światowej podstawowym uzbrojeniem żołnierzy *każdego wojska*. Tyle tylko, że autorzy opracowania nie rozumieją, co oznaczają plany mobilizacyjne, mobilizacja w roku 1914 ani jej dalsze etapy. Ponownie mamy do czynienia z wyciąganiem wniosków z niepełnych informacji i powtarzaniem utartych stwierdzeń, na dodatek źle czerpanych z innych opracowań. Nie jest prawdą, że rosyjskie *plany mobilizacyjne dotyczące broni strzeleckiej przewidywały zapotrzebowanie na 4,5 mln karabinów*. Plany przewidywały zabezpieczenie 286 259 karabinków i 4 272 744 karabinów. Nie jest prawdą, że *Tymczasem w 1914 roku okazało się, że zmobilizowano 5,5 mln żoł-*

nierzy, a więc brakowało miliona karabinów. Do końca 1914 r. powołano pod broń prawie 6,3 mln ludzi, przy czym w użyciu i zapasie znajdowało się sprawnych 4652419 karabinków i karabinów, a produkcja oraz remonty niesprawnych do końca roku powiększyły tę liczbę o tylko 278000 sztuk. Jednocześnie ubyło z szeregów około 0,85 mln ludzi (zabici, ranni, zaginioni) oraz utracono w walkach około 200000 karabinków i karabinów, zatem niedobór wyniósł około 0,72 mln jednostek. Nie jest prawdą, że *W całości armii rosyjskiej na wszystkich frontach – od Azji po Europę – było 4990 ciężkich karabinów maszynowych, z czego 450 w rezerwie*. Podane liczby dotyczą oszacowanego w latach 1910-1914 zapotrzebowania mobilizacyjnego, a ponadto nie całości armii, bo bez wojsk fortecznych. Również nie jest prawdą, że *Słabą wydajność produkcyjną rosyjskich fabryk broni jeszcze przed wojną próbowano pokryć zakupami za granicą*. Przed I wojną światową zakupy zagraniczne były dokonywane tylko w czasie krótkiego okresu organizowania własnej produkcji, tzn. sprowadzono w latach 1893-1895 karabiny wz. 1891 oraz w roku 1905 ckm wz. 1905. Po pełnym uruchomieniu produkcji zamówienia wstrzymano.

Następnym aspektem jakim zajęli się autorzy broszury jest treść ogólnego zapisu *niemieckie oddziały na froncie wschodnim nie cierpiały na brak amunicji artyleryjskiej, zaczerpniętego ze wspomnień gen. Ericha Ludendorffa*. Tak dla jasności, której czytelnik nie może mieć, stykając się ciągle z narracją konstruowaną ze zdań wyrzniętych z kontekstu różnych opracowań, w tym zdaniu Ludendorff odniósł się do walk na froncie wschodnim przez całą wojnę, a nie wspominał nic o epizodycznym stanie zaopatrzenia w amunicję artyleryjską w walkach nad Rawką.

Nauczający piszą dalej, że *nad Rawką do wiosny 1915 roku Niemcy odnotowali jeden podstawowy mankament swojego uzbrojenia – brak wystarczającego zaopatrzenia w granaty*. Oprócz chaosu logicznego (mankament uzbrojenia to kwestia jakości, natomiast niewystarczające zaopatrzenie to sprawa ilości), z ich tekstu wynika, o jakich granatach mowa – czy o granatach ręcznych czy też karabinowych? Wiadome jest,

iz w ramach przygotowań do planowanej dużej operacji zaczepnej niemieckie jednostki wojskowe nad Rawką i Bzurą otrzymywały znaczne dostawy granatów ręcznych od drugiej połowy stycznia 1915 r. Zatem nasuwa się od razu pytanie, skąd autorzy wiedzą, że dopiero od wiosny 1915 otrzymywali ich wystarczającą ilość? Piszący powołali się na incydent z walk pod Huminem: *niemieccy piechurzy rzucali w Rosjan kamieniami lub brukiem*. Nie wzięli pod uwagę, iż mogło chodzić o pozorację miotania granatów ręcznych dla uzyskania chwilowej dezorientacji przeciwnika, w celu przedostania się doń na jak najbliższą odległość bez strat własnych i nadmiernego zużycia amunicji. *Produkowano też prymitywne granaty samoróbki*, ale czytelnik nie jest uświadomiony przez autorów, że to nic nadzwyczajnego, bo przewidywała to niemiecka instrukcja wojskowa dla saperów, opracowana jeszcze przed wojną. Owszem, według niej były wykonywane granaty ręczne z puszek po konserwach, ale godna jest podziwu fantazja autorów zawarta w twierdzeniu, iż *wykorzystywano też puszki [...], które wypełniano materiałem wybuchowym i gwoździami*. Wymieniona instrukcja nic o gwoździach nie wspomina, ponieważ był to materiał zbyt cenny i przewidziany raczej do budowy umocnień polowych. Co najwyżej mogły to być pogięte i nie nadające się do niczego po rozbiórkach ich odpadki. Autorzy twierdzą dalej, że *na wyposażeniu armii powinny być granaty dyskowe [...] czy kuliste [...], ale w te nie wyposażono żołnierzy niemieckich w początkowym okresie działań pozycyjnych*. Nic bardziej mylącego czytelnika, bo właśnie te wzory dostarczano nad Rawką od stycznia 1915 r., chyba że ów początkowy okres to według autorów tylko wcześniejsze trzy tygodnie walk. Wtedy owszem, m.in. na wąskiej deseczce układano materiał wybuchowy, obkładając go pociętymi kawałkami grubego drutu, po czym wraz z lontem mocowano do deseczki owijając całość cieńszym drutem. O obkładaniu gwoździami – jak napisali autorzy – należy zapomnieć.

Żeby zakończyć recenzję s. 40 trzeba jeszcze wspomnieć, iż zamieszczona na niej fotografia nie jest prawidłowo opisana, ponieważ piszący

samowolnie zmieniają nazewnictwo materiału uzbrojenia. Na fotografii widoczny jest granatnik karabinowy, a nie *miotacz granatów karabinowych*, składający się z wczesnej konstrukcji podstawy wykonywanej w warsztatach wojskowych oraz karabinu Mauser wz. 98 z granatem karabinowym wz. 1914.

Na s. 41 czytamy nieprzerwany ciąg zdań, nie tylko nie mających jedno po drugim ze sobą związku logicznego, lecz również zawierających mnóstwo fałszywych informacji. Twierdzenie autorów o jakiejś dominacji rosyjskiej w zakresie liczby i mnogości typów granatów jest ich wymysłem – przed wybuchem wojny obie strony miały w tym zakresie porównywalny potencjał. Z kolei zdaniem napisanym w dalszej kolejności zaprzeczyli temu twierdzeniu, bo ponoć w armii rosyjskiej *brakowało również karabinów z systemami do miotania granatów nasadkowych lub prętowych. Niemcy nie tylko to wszystko mieli, ale też z powodzeniem tego sprzętu używali*. Zapewniam czytelników, że ani armia rosyjska, ani niemiecka podczas I wojny światowej nie używała granatów nasadkowych, natomiast już przed jej wybuchem obie miały prętowe granaty karabinowe. Co się zaś tyczy twierdzenia autorów *przydrożnych lekcji historii* o tym, że rosyjskie wojsko nie posiadało jeszcze na początku 1915 r. miotaczy min, to dlaczego można znaleźć ich opis w austriackim czasopiśmie wojskowym „Streffleurs” z 1906 r.? Niemcy do pierwszych miesięcy 1915 r. też nie dysponowali w polu lekkimi miotaczami min¹⁴. Dopiero od wiosny 1915 r. obie strony wytwarzały zarówno w fabrykach, jak i warsztatach wojskowych, prowizoryczne miotacze min. Z zupełnym, jak widać któryś już raz z rzędu, brakiem wiedzy autorów o uzbrojeniu armii walczących nad Rawką, koresponduje podpis do fotografii także na s. 41. Pierwsze zdanie opisu byłoby do przyjęcia, gdyby nie zwrot o korzystnych właściwościach miotaczy min *na małych odległościach*. W nomenklaturze z dziedziny artylerii chodzi o strzał na bliską odległość (krótki dystans), a pocisk przemierza wówczas krótką odległość do celu. Drugie zdanie wyjaśnić miało

co konkretnie widoczne jest na fotografii i tu nic kompletnie się nie zgadza. Na zdjęciu widać lekkie, prowizoryczne miotacze min Mausera kaliber 90 mm (*leichter Behelfs Minenwerfer Mauser 9cm*) wytwarzany w filii zakładu Mausera w Nadrenii, a nie *zastępczy miotacz min typu Lanz, produkowany przez zakłady Mausera*.

Twierdzenie autorów o tym, iż dowództwo niemieckie jakoby *dopiero po pierwszych przegranych bitwach w Prusach Wschodnich i pod Łodzią [...] zorientowało się, jak istotną rolę w tej wojnie odgrywają CKMy i artyleria*, jest karkołomne. O roli tej broni naocznie mogli się przekonywać niemieccy obserwatorzy wysyłani na fronty konfliktów zbrojnych rozegranych na świecie w latach 1898-1905. Gdyby w niemieckiej armii już długo przed wojną nie wyciągnięto z tamtych wojen wniosków, to zakłady Kruppa produkujące armaty nie dostałyby olbrzymich zamówień od wojska, a i fabryka w Spandau nie produkowałaby karabinu maszynowego systemu Maxima wz. 1908. Kolejnym karkołomnym twierdzeniem zakończyli autorzy drugi akapit na stronie, dotyczący poziomu wyszkolenia i morale armii walczących ze sobą nad Rawką: *Nad Rawką jednak, w odróżnieniu od wielu innych odcinków frontu, walczące naprzeciw siebie niemal bez przerwy przez ponad pół roku jednostki niemieckie i rosyjskie przedstawiały podobny poziom wyszkolenia i morale*. Jakim sposobem był on podobny, skoro niemiecka dywizja liczebnie zbliżona do dywizji przeciwnika, dysponująca uzbrojeniem porównywalnym co do ilości i możliwości taktycznych z uzbrojeniem wroga, prowadziła równorzędną walkę z trzema dywizjami rosyjskimi?

Na s. 42 autorzy pozwolili sobie na stawianie dziwnych wniosków, bardzo subiektywnych, nie potwierdzonych przykładami, cytatami ze wspomnień i pamiętników, bez oparcia ich na jakichkolwiek opracowaniach i pracach naukowych. Do tego nie użyli języka polskiego, tylko słownictwo czerpane z tworzonej przez nich tzw. subkultury rekonstrukcji historycznej. *Żołnierz rosyjski był wyposażony gorzej jakościowo niż niemiecki, ale równie funkcjonalnie. Wątpliwości budzić może rozmieszczenie ekwipunku u żołnierzy armii rosyjskiej, gdyż, jak się wydaje, w cza-*

¹⁴ T. Spieß, *Minenwerfer im Großkampf*, München 1933, s. 181.

sie marszu nie było ono optymalne. Wyposażenie osobiste rosyjskiego piechura nie było zbyt bogate ilościowo w porównaniu z niemieckim. Jednak ponieważ carscy żołnierze mieli opinię bardziej wytrzymałych na polowe warunki wojenne, a ich przyzwyczajenia „konsumpcyjne” były mniej wyrafinowane niż żołnierzy Kajzera, należy ocenić ich wyposażenie jako zadowalające. Żeby krótko podsumować ten absurdalny wywód autorów, przytoczę kilka zasadniczych faktów. Uzbrojenie i ekwipunek żołnierzy armii rosyjskiej i niemieckiej w 1914 r. składało się w podstawowym zakresie z takiej samej liczby – 13 elementów. Wszystkie miały z obu stron swoje dokładne odpowiedniki użytkowe, zatem spełniały ten sam zestaw potrzeb żołnierza (człowieka) w polu i bitwie. Car Mikołaj II osobiście sprawdzał walory umundurowania i pełnego wyposażenia polowego swych żołnierzy, w ramach tego zaliczył wielokilometrowe przemarsze i wniósł nawet kilka uwag, które posłużyły do wprowadzenia ulepszeń. Jak zatem żołnierz rosyjski mógł być gorzej wyposażony jakościowo i miał mniej wyrafinowane potrzeby, skoro każdy z nich w sierpniu 1914 r. miał też opatrunek osobisty, a takowych w „Armii Kajzera” nie wydawano?

W ostatnim zdaniu tego akapitu, sugerującego czytelnikowi patologiczny stan pokrzywdzenia żołnierza rosyjskiego w kwestii zaopatrzenia go w niezbędne do życia i walki nad Rawką zapisało, iż *żołnierze rosyjscy cierpieli na chroniczny brak karabinów i amunicji strzeleckiej*. Autorzy wykazali utratę panowania nad treścią udzielanych lekcji. Przecież w tejże broszurze na s. 25 zamieścili relację niemieckiego majora von Behra, który po zdobyciu rosyjskiej pozycji w czerwcu 1915 r. wspominał, że: *Wiele materiału wojennego leży w okopach, w szczególności, setkami tysięcy leżą naboje*. Wszystko wskazuje na to, iż autorom pojęcie „chroniczny” pomyliło się z terminem „chronologiczny”, ponieważ odczuwalne niedobory karabinów i naboju nastąpiły dopiero u schyłku lata, gdy armii rosyjskiej nie było już nad Rawką.

Na dole omawianej strony, w ciekawostce z cyklu *Czy wiesz że...*, autorzy zawarli wykład o *dziennej racji żywnościowej żołnierza niemieckiego*, który w tej postaci nie może być zrozumiały

dla czytelnika. Żołnierz po skonsumowaniu w ciągu dnia samych tylko 1,5 kg ziemniaków, 0,75 kg chleba i 0,5 kg mięsa, nie byłby w stanie się ruszyć. Chodzi o to, że zaprezentowany spis to zestaw podstawowych produktów żywnościowych podlegających zamówieniom kwatermistrzowskim dla wojska w czasie wojny, z którego dopiero tworzone były dzienne jadłospisy. To znaczy, np. danego dnia podawano więcej ziemniaków do wyczerpania normy, ale za to mniej chleba. Jeśli ktoś ma jakieś wątpliwości, niech spróbuje konsumować codziennie 25 g soli, tzn. dwie czubate łyżki stołowe. Autorzy do tego momentu zachowywali pozory obiektywizmu, starając się prezentować obie strony konfliktu, lecz tym razem nie zamieścili składu rosyjskiej racji żywnościowej, aby czytelnik sam sobie mógł porównać jakość życia kulinarnego po obu stronach Rawki. Faktem jest, że autorzy nauczając o bojach nad Rawką nakreślili sylwetkę żołnierza rosyjskiego jako ciągle głodującego, na co wcześniej zwracalem uwagę, ale żeby było aż tak źle...

Strona 43 zawiera 9 zdjęć, w tym 6 nieopisanych. Sporządzone opisy mijają się z prawdą. Dotyczą trzech kolorowych fotografii wojskowych nakryć głowy. Były z tym problemy nie tylko merytoryczne, ale i techniczne, o czym świadczy na nowo wydrukowany tekst na wklejce, zresztą nie jedynej w tej broszurze. Jako pierwsza od góry zamieszczona została pozbawiona pokrowca rosyjska czapka wz. 1907 dla szeregowych, będąca nakryciem głowy ogólnowojskowym, a nie tylko *noszona przez piechurów rosyjskich*. Pod nią – według autorów – ma być *czapka niemieckiego strzelca (Jeger)*. W tym zapisie nie dość, że mamy do czynienia z wielokrotnie stosowanym przez autorów niemiecko-polskim żargonem (poprawnie w jęz. niem. Jäger), to jeszcze nie odpowiada on rzeczywistości. Jest to czapka szeregowego piechoty wz. 1917, więc nie ma związku z tą lekcją przydrożną, skoro wykłady miały dotyczyć walk nad Rawką do lipca 1915 r. Trzecie zdjęcie przedstawia pruski kołpak skórzany wz. 1895 dla szeregowych (Pikelhaube M1895). Słusznie zauważono, że jest to *pikelhauba bez pokrowca*, szkoda tylko, że nie wyjaśniono czytelnikowi istotnego szczegółu – tak była noszona tylko w czasie po-

koju. Za to po raz drugi autorzy uparcie nauczają o tym, że: *Szpic był nie tylko ozdobą, ale pełnił też rolę wywietrznika. Zatem powtórzyć trzeba, iż był to głównie akcent rozpoznawczy i osłona otworu wentylacyjnego.*

W tekście pod zdjęciami znajduje się próba przybliżenia czytelnikowi tego charakterystycznego niemieckiego wojskowego i paramilitarnego nakrycia głowy, uczyniona po amatorsku, wymyślnym językiem. Po jej zgłębieniu, czytelnicy muszą postawić pytania, co to takiego: *Wyjściowa ochrona głów żołnierzy z mosiężnymi emblematami landu?* Wyjaśniając im krótko: kołpak wz. 1895 dla szeregowych to niemieckie regulaminowe nakrycie głowy wojskowych jednostek pieszych, używane podczas służby i na paradzie, natomiast poza służbą była używana połowa czapka bez daszka (dla szeregowych), w języku niemieckim: *Feldmütze 1907 für Mannschaften* (w żargonie żołnierzy – polówka, niem. *Krätzchen*). Natomiast owe emblematy to herby niemieckich krajów związkowych (niem. *Landeswappen*), wchodzących w skład Cesarstwa Niemieckiego. Autorzy pominieli ważny szczegół, a mianowicie wspominając o obecności *bocznych kokard* nie dodali, iż każda była w innych barwach: cesarstwa oraz kraju związkowego.

Ni stąd ni zowąd, w ostatnich zdaniach rozdziału autorzy zajęli się problematyką hełmów stalowych, które nie występowały podczas walk nad Rawką 1914-1915, ani w armii niemieckiej, ani w armii carskiej. Przy tej okazji wyeksponowali swój brak wiedzy w zakresie nawet elementarnych podstaw klasyfikacji materialnego wyposażenia wojska. Nauczając o tym, że hełmy stalowe *wprowadzono do umundurowania*, autorzy cofają gatunek ludzki w rozwoju cywilizacyjnym. Pozwolę więc sobie udzielić wykładowcom korepetycji: hełm stalowy to element uzbrojenia ochronnego, a nie umundurowania.

Rozdział IV „To co po wielkiej wojnie nad Rawką pozostało”

Zaczyna go krótki podrozdział *Przydrożne lekcje historii* (s. 45). Jest to kompilacja kilkunastu zdań, mająca w zamyśle autorów być streszcze-

niem wcześniejszych rozdziałów. Do czego doprowadził natłok wiedzy widać już w pierwszym zdaniu: *Bitwa nad Rawką, zwana też Bitwą pod Bolimowem, była kontynuacją walk, które toczyły się na wschód od Warszawy od września 1914 roku.* Biorąc pod uwagę, że walki pod Bolimowem były tylko epizodem walk nad Rawką, a natarcie niemieckiego XVII KA na Warszawę w październiku 1914 r. nie ma z nimi nic wspólnego, tłumacząc cytowane zdanie na język polski brzmi ono następująco: *Nad Rawką pod Bolimowem rozegrały się wydarzenia I wojny światowej. Pominę dalsze tłumaczenie i przejdę do planu okolic Bolimowa, jaki dodano do omawianej strony (powtórzony na tylnej stronie okładki).* Trzeba podkreślić, że jest to jedyny, jaki w ogóle zamieszczono w broszurze, który nawiązuje do walk na przyczółku bolimowskim. Nie powstał na jej potrzeby, lecz został zaczerpnięty z książki S. Kalińskiego¹⁵. Nie obrazuje on czytelnikowi w ogóle przebiegu opisywanych przez autorów walk nad Rawką. Pokazuje jedynie fragment pola walki z przebiegiem linii frontu, i to tylko w maju 1915 r. Ciekawostką jest naniesiony hipotetyczny zasięg falowego ataku chemicznego z 31 maja. Nie dość, że odcinek skąd wypuszczono chlor ma na rysunku (tylko do jego marginesu!) 9 kilometrów, to z tego 2 kilometry obejmują Puszczę Bolimowską. Wystarczy sięgnąć po stare mapy aby dostrzec, iż w okolicy Tartaku Bolimowskiego wówczas też stał las, a więc wypuszczenie tam gazu byłoby bezsensowne, bo nie byłby w stanie się rozprzestrzenić. Widać ewidentnie, jak czytelnik i turysta są nabijani w przysłowiową butelkę, a dokładniej w butlę po chlorze.

Wspomniany plan pokazuje przebieg w terenie dwóch tzw. *wirtualnych ścieżek edukacyjnych*, wiodących do siedmiu miejsc, gdzie odbywa się przydrożna prezentacja treści zawartych w niniejszej broszurze na stojących tam tablicach. Dalej na s. 46-47 podana jest krótka charakterystyka obu ścieżek, a na s. 48-71 znajdują się zapisy poszczególnych wykładów. Jest to w dużej części zbiór wielu powielonych, błędnych informacji z poprzednich rozdziałów, okraszonych lawiną

¹⁵ S. Kaliński, *Ataki gazowe w bitwie pozycyjnej 9. Armii Niemieckiej nad Rawką i Bzurą 1914-1915*, Przemyśl 2010, wkładka.

domniemań i żargonowych określeń, charakterystycznych dla subkultury odkrywców wszystkiego co jest dla nich niezrozumiałe i na dodatek mających trudności ze zrozumiałym podziałem się o tym z czytelnikami.

Przy opisie ścieżki I *Życie i śmierć w okopach nad Rawką* (s. 46), już w zarysie przebiegu jej trasy dowiadujemy się, że prowadzi m.in. do krateru *po wybuchu rosyjskiej miny*, podczas gdy są to pozostałości po leju minowym. Na końcu podobno *można znaleźć pozostałości niemieckiej linii frontu z lat 1914-1915*. Zatem pod Bolimowem mamy krajobraz powulkaniczny, w którym były chyba dwie linie frontu, bo trudno uwierzyć, że autorzy chcieli po prostu powiedzieć o pozostałościach niemieckiej pozycji na linii frontu, lecz im się nie udało. Dalej, w charakterystyce ścieżki mamy do czynienia z unikalnym słownictwem tzn. *terenami pogazowymi*. Oczywiście tam nigdy nie było wydobywania ani też produkcji gazu.

W tym momencie muszę przestrzec czytelników recenzji, co się kryje pod niby-przypadkowym wprowadzaniem takiej terminologii. Jest to jeden z iluzjonistycznych tricków wszystkich działaczy na niwie *przydrożnych lekcji historii (PLH)*, którzy głoszą potrzebę opieki nad tzw. terenami zdegradowanymi działalnością wojska. Na wszelkie tereny, gdzie jakiś czas rezydowało wojsko, spada lawina przeróżnych badaczy toksyn, radiacji, recyklingu, stosunków wodnych, motyli itp. Oczywiście niczego groźnego tam nie znajdują, nawet genetycznych odmieńców wśród flory i fauny. Zaskakujące jest to, że odnajdują w tych niby-zdegradowanych ekologicznie miejscach siedliska (ponoć) unikalnej przyrody i jak grzyby po deszczu tam właśnie wyrastają różne nowe rezerваты i strefy ochrony. Można więc przypuszczać, iż mamy do czynienia z jakąś forpcztą odkrywców przeoczonych miejsc niechybnej degradacji, pilnie teraz poszukiwanych, bo owi badacze cierpią już na bezczynność. Postawmy sprawę jasno – kilkugodzinna niegdyś obecność mas chloru sto lat temu w okolicach Bolimowa nie wywołała jakichkolwiek zmian w terenie i ekosystemie, po których pozostałyby do dziś ślady. A już z pewnością w okolicy wyciecznych ścieżek i punktów edukacyjnych, po-

nieważ wbrew temu co sugerują autorzy, nie tutaj odbywały się ataki gazowe w roku 1915.

Do koniecznej grupy wszelkich naukowców, mogących odkryć z pewnością jeszcze wiele spośród tego co od dawna jest znane, autorzy proponują sprowadzić nad Rawkę archeologów. Jakoby nieznanie i zatarte są miejsca po ekshumowanych cmentarzach pobitewnych *ale mogą je przywrócić pamięci badania archeologiczne*. Nieodparcie kojarzy się ta propozycja z przedziwnym kierowaniem tzw. badań archeologicznych na efekty mordów politycznych i skutków wypadków komunikacyjnych, do czego skłania twierdzenie autorów o tym, że nad Rawką są *cmentarze, na których spoczywają żołnierze zabici [...]*. Warto więc autorom odpowiedzieć, że w wojsku zabici figurują tylko na listach strat, natomiast na cmentarzach leżą polegli żołnierze.

Opis ścieżki II *Zaplecze frontu nad Rawką 1914-1915* (s. 47) dostarcza czytelnikowi kilku cennych wskazówek o obeznaniu autorów z zagadnieniami turystyki. Podali długości tras w kilometrach, ale umknęła im potrzeba określenia czasu potrzebnego na ich przejście. W zamian za to autorzy wprowadzili nowatorską nazwę *trasa opcjonalna*, zamiast poinformować, że oprócz *wariantu podstawowego*, druga trasa stanowi wariant alternatywny.

W charakterystyce trasy znajdujemy wiele ciekawych określeń, które nie są znane badaczom spuścizny wojskowo-historycznej, a co dopiero zwykłemu czytelnikowi. Podobno na trasie możemy znaleźć *pozostałości po tyłowych instalacjach frontu nad Rawką 1914-1915*. Wyjaśnić należy czytelnikowi, że instalacje wykonują np. hydraulicy i artyści plastycy, ale nie wojsko podczas walk. Autorom po prostu chodziło o pozostałości po tyłach frontu. Podobno nie ma tam żadnych relikwów fortyfikacji polowych, tylko *część ścieżki prowadzi do „dolów”, które kiedyś były ziemiankami*. Na koniec owej charakterystyki pojawia się wymyślony zwrot o bytności w tych ziemiankach warsztatów, *w których naprawiano frontowy sprzęt*. Autorzy chyba chcieli nam powiedzieć, że tam być może pracowali kiedyś rzemieślnicy przy naprawie ekwipunku i umundurowania, podczas gdy wadliwie działające wyposażenie techniczne

odsyłano na głębokie zaplecze do napraw w specjalistycznych warsztatach.

Opis punktów wykładowych „lekcji historii” zajmuje dalszych ponad dwadzieścia stron i jest kontynuacją wcześniej poruszonych wątków, z wielką ilością wszelkiego rodzaju błędów, które powtarzają się z poprzednich rozdziałów tworząc potok informacji wskazujących cały czas, że autorzy nadal nie wiedzą o czym piszą. Przy tym zdania bywają niezrozumiałe, pisane żargonem, czasami zaprzeczają wcześniej podanym faktom. Recenzja już osiągnęła znaczny rozmiar i muszę ją skrócić, zatem odniosę się tylko do najbardziej odkrywczych i rażących zdań.

W przystanku nr 1 (*Bolimów. Rynek Bolimowski. Kościół Świętej Anny*) kolejny raz autorzy kładą nacisk na nieprawdziwe twierdzenie o równoznaczności wydarzeń *Bitwy nad Rawką 1914-1915* z określeniem *Bitwa pod Bolimowem* (s. 48). Żeby nie wiem jak długo wmawiać stan odwrotny, detal to zawsze część ogółu, natomiast autorzy usiłują w ten sposób odwrócić uwagę czytelnika od czegoś ważnego – jak głosi tytuł broszury, ich praca miała dotyczyć walk nad Rawką, a tymczasem nie ma w niej nic oprócz walk w rejonie Bolimowa. Wcześniej autorzy nauczali, że walki pozycyjne pod Bolimowem rozpoczęły się w grudniu 1914 r., a tutaj odkryli na podstawie relacji mieszkańców prawdziwą datę: październik (s. 49). Ciekawostką są odkryte przez autorów stopień i funkcja, jaką pełnił na początku 1915 r. bywający w Bolimowie Max Hoffmann, jakoby generał i *Kwatermistrz Naczelny Dowódcy frontu wschodniego generała Hindenburga* (s. 50). Ta znana postać miała rangę pułkownika i pełniła funkcję oficera Sztabu Generalnego przy Głównodowodzącym na Wschodzie, albo jak widnieje na okładce polskiej edycji jego wspomnień z 1925 r., a do której – mam nadzieję – autorzy naprawdę zerknęli (jest wymieniona w bibliografii!), był *szeferm sztabu naczelnego wodza na Wschodzie*. Efektem badawczej wnikliwości autorów jest pokłosie odkrycia obecności niegdyś przy kościele bolimowskim pomnika postawionego tam w czerwcu 1915 r. (s. 51). Choć powszechnie wiadomo, że Niemcy oznaczali korpusy liczbami rzymskimi, autorzy

uparli się odczytać zarejestrowany tekst inskrypcji „6. K. PION. REG.”, ustalając jako fundatora pomnika *6 Korpus 36 Pułku Pionierów*, zamiast prawidłowej 6. kompanii 36. pułku saperów.

Przystanek nr 2 (*Cmentarz wojenny w Bolimowskiej Wsi*) odsłania np. treść napisów na tablicach nagrobnych żołnierzy, gdzie występują dane osobowe: *imiona, nazwiska, przydziały i daty śmierci żołnierzy* (s. 52). Czytelnik musi wiedzieć, że tu chodzi o tzw. przydział służbowy, a nie o przydział np. komuś adiutanta. Z kolei na s. 54, przy wyliczaniu epizodów z walk, jakie pod Bolimowem zaliczyły poszczególne niemieckie korpusy, przy udziale jednostek XVII Korpusu Armijnego (a nie *Liniowego!*) i XXV Korpusu Rezerwowego we wspartym falą gazu ataku z 31 maja 1915 r., autorzy twierdzą, że polegli wówczas Rosjanie pochodzili z nieznanych jednostek. Tymczasem cofając się do s. 22, znajdujemy tam nawet numery poszczególnych pułków. Oprócz tego autorzy przypuszczają, że pochowano tutaj rosyjskich żołnierzy *należących do 2. i 5. Armii Rosyjskiej*. Nie wnikając w numerację armii, mało jest prawdopodobne by polegli jacyś członkowie sztabów armijnych. Przypuszczalnie autorzy mieli na myśli żołnierzy z jednostek taktycznych podporządkowanych armiom, ale nie wiedzieli jak o tym napisać.

Koniecznien trzeba się zatrzymać przy lekcji nr 4 (*Pozostałości niemieckiego zaplecza walk 1914-1915*). Tekst wypełniający całą pierwszą stronę wykładu (s. 58) to dalszy ciąg poprzedniego przystanku nr 3 (*Cmentarz wojenny w Wólce Łasieckiej*). Zastanawiające jest, że nie zauważył tego długi ciąg osób zaangażowanych w powstanie broszury, począwszy od autorów, wykonującego skład, korektora, a kończąc na Komisji Wydawniczej IAE PAN. Nie to jest jednak prawdziwym problemem. W wykładzie autorzy dzielą się z czytelnikami swą wiedzą na temat budownictwa, równie poważną jak w zakresie całej kultury materialnej wojska. Po pierwsze autorom obce są podstawy taktyczno-techniczne wysiłku budowlanego w polu, a szczególnie podczas boju. Nie rozumieją czym różni się ziemianka od ukrycia i schronu. Dla nich istnieją tylko *ziemianki będące zapleczem linii frontu* (s. 59). Trzeba więc

wyjaśnić czytelnikom, że zapewne autorom chodziło o zachowane nad Rawką relikty zespołów budowli dostosowanych do przyjętego ugrupowania bojowego, lecz znowu nie dali rady tego napisać. Co do szczegółów konstrukcji tych ziemianek, to związane z tym wywody nie mogą być odebrane obojętnie przez techników i inżynierów budownictwa, nie wspominając o specjalistach od budowli obronnych. Według autorów np. *Pozostałości poszczególnych ziemianek różnią się, można jednak wyróżnić pewne prawidłowości wskazujące m.in. na porę roku, w trakcie której powstawały: zimą były odpowiednio płytkie, zaś latem głębsze* (s. 60). W rzeczywistości warunki meteorologiczne nie miały wpływu na wykonanie wszelkich obiektów, natomiast istotne było ich położenie względem przeciwnika i przeznaczenie. Ponownie przywołuję więc specjalistyczne instrukcje wojskowe, do których autorzy zapewne nie zajrzeli – wojsko to nie zabawa, wszystko jest tam zorganizowane od „a do z”.

Z wybitną wiedzą autorów w dziedzinie budownictwa obronnego i wynikającej z tego umiejętności odczytywania relikwów fortyfikacji polowych, ściśle koresponduje kolejny wykład nr 5 (*Ślady wojny pozycyjnej i życia w okopach rosyjskich i niemieckich*). Na s. 62 autorzy nie odróżniają rowów łączących od dobiegowych, nie odróżniają rowów strzeleckich od rowów komunikacyjnych, a niemal wszystkie rowy są dla nich *transzejami*. Przypomnieć im trzeba, że w armii niemieckiej czegoś takiego nie było, w rosyjskiej były to rowy o specjalnym przeznaczeniu. Obecnie wyraz ten stanowi w języku polskim rusycyzm, związany z II wojną światową i przypisywany jest wszelkim zygzakowatym twórcom pochodzenia wojskowego. Nie zagłębiając się w terminologię, daruję sobie dalsze recenzowanie tego wykładu wobec oznak zupełnego braku logicznego myślenia autorów przy tworzeniu tego tekstu. Jakim sposobem pozycje niemieckie miały więcej połączeń z zapleczem oraz wyraźnie więcej pomieszczeń, skoro wojska rosyjskie były wielokrotnie liczniejsze? Dla jakiego człowieka produkowano tarcze pancerne z umiejscowionym pośrodku otworem strzelniczym, gdy sylwetka żołnierza w postawie strzeleckiej nie jest symetryczna?

Przystanek nr 6 (*Pozostałości kraterów pominiowych – wojna pod ziemią*) to kontynuacja wmawiania czytelnikowi, że pod Bolimowem są jakieś kraterzyki zamiast lejów oraz, że atakom minowym towarzyszyła wojna podziemna, której akurat tam nie było. Tekst ten zawiera natomiast pewne niepokojące przesłania. Nie wiadomo, dlaczego czytelnik konfrontowany jest z paradoksem zachwalania leśniczego (s. 66), który zadbał o oczyszczenie ze śmieci leja po wybuchu miny rosyjskiej (epizod cytowany przez autorów na s. 17), gdy chyba należało to do jego obowiązków służbowych, aby takowe tam nie trafiały, a tym bardziej zalegały dłużej. Mowa jest też o domniemanej w rejonie Bolimowa *obecności instalacji podziemnych, tj. tuneli minowych, kamuflętów itd.* Rozpoznanie tego wymaga zaangażowania m.in. zaawansowanych technologicznie (!) narzędzi badawczych. Zapomniane miny i kamuflęty to pole pracy dla czyszcicieli Polski z przedmiotów niebezpiecznych, ale autorzy sugerują też pojawienie się innych ekspertów (s. 67): *Precyzyjne rozpoznanie przebiegu chodników minowych jest możliwe w wyniku zaawansowanych badań archeologicznych.* Trzeba więc czytelnika uświadomić, iż potrzebne są do tego działania inżynierskie, a nie wysadzanie w powietrze co popadnie, albo wzywanie poszukiwaczy zapadniętych półciałopalnych kurhanów.

W wykładzie nr 7 (*Cmentarz wojenny w Joachimowi-Mogiłach*) autorzy ujawniają (s. 69), że pokazane przez nich i natarczywie eksponowane w broszurze, ten i inne cmentarze wojenne wcale nie są materialnymi pozostałościami po Wielkiej Wojnie nad Rawką 1914-1915! W rzeczywistości tymi pozostałościami są tylko kości poległych żołnierzy. W zdecydowanej większości przypadków mamy do czynienia z wtórnymi, zbiorczymi cmentarzami, które powstawały w rejonie Bolimowa od roku 1916. Nawet jeśli jakiś pozostał w pierwotnym miejscu, nie ma już oryginalnego kształtu i wystroju z czasu, gdy czyniono pochówki. Wracając do *przydrożnej lekcji historii* nr 3 dotyczącej cmentarza, czymś szokującym jest ujawnienie faktów, że dopiero w roku 2010 zajęto się jego opieką (s. 58). Jej inicjacja przez osoby fizyczne godna jest pochwały, ale w ten sposób tolerowana jest bier-

ność administracji państwowej i samorządowej, która w tej kwestii ma szereg obowiązków ustawowych, a nawet narzuconych przez prawo międzynarodowe stosownymi przepisami o cmentarzach wojennych. Bezdyskusyjnie podziękowania należą się regionalnym miłośnikom, entuzjastom i osobom prywatnym za ich wysiłek i zaangażowanie w propagowanie i opiece nad ocaleniem tych ważnych pamiątek po Wielkiej Wojnie. Często gdyby nie oni, to osoby piastujące teraz eksponowane stanowiska nie miałyby się czym chwycić, jakimi to potrafią być orędownikami historii. Społeczne działania są znaczne, lecz o ich decydującym wpływie na istnienie cmentarzy wojennych, wobec zaniechania obowiązku fizycznej ochrony przez instytucję państwa, nie powinno znaleźć się na łamach *Przydrożnych lekcji historii* – widać, że autorom brak było w tej kwestii wyczucia.

Postowie

Ta część broszury ma drugi tytuł *Przydrożne Lekcje Historii na temat Pierwszej Wojny Światowej Nad Rawką (1914-1915) i potencjał materialnych pozostałości przeszłości* oraz jako jedyna została opatrzona informacją o konkretnym jej autorze, którym jest Anna Zalewska.

Cechą charakterystyczną tego tekstu jest wiele użytych przenośni i cytowanych określeń, czyli wyrazów opatrzonych cudzysłowami. Trudno go streścić, gdyż zawiera potok zdań będących bardziej próbą wyciągania wniosków z własnej polemiki autora o stereotypach i domniemaniach, niż prezentacją faktów. Ukazują to przykładowe wywody zaczerpnięte z pierwszej strony (s. 73). Według autorki materialne pozostałości omawianych w broszurze wydarzeń są *jak zagubione „rekwizyty” po niezrozumiałym „spektaklu”*. Odbił się on w ramach jakiejś dziwnej wojny, bo: *Wiedza o tym konflikcie, nawet o miejscach, które są nim wprost intensywnie naznaczone, jest mniej niż skromna. Również wielu ludzi z tytułami naukowymi i na „sprawczych” stanowiskach zakłada, że „to była przecież wojna zaborców”, wojna „niepaństwowa” [...], lub tylko „wojenka”*. Takie właśnie tło było przyczyną sprawczą powstania recenzowanej broszury: *Niniejsza publikacja ma*

na celu zasugerować Czytelnikowi, że o tej wielkiej wojnie dotychczas mało się w Polsce mówiło, że traktowało się ją jako „pomijalną” (zwłaszcza w odniesieniu do frontu wschodniego ponieważ to front zachodni skupił na sobie uwagę i pamięć większości historyków zajmujących się problematyką związaną z tym okresem). Co do jej skutków, autorka zauważyła m.in. taki: *Ta wojna rozpoczęła [...] trudny do wyhamowania „postęp” w technologii zabijania*.

Zapewne w obawie o ograniczoną zdolność pojmowania przez nasze społeczeństwo istoty I wojny światowej tylko przez pryzmat zmuszania Polaków do służby w obcych armiach, wątek ten został w posłowie też rozwinięty, bo: *Są to argumenty obligujące nas do przywrócenia pamięci również o żołnierzach walczących nad Rawką* (s. 74). Aby zmienić stan pozornej, a właściwie niedostatecznej – według autorki – świadomości polskiego społeczeństwa o I wojnie światowej, a w szczególności o bitwie na Rawką, musiała powstać ta broszura. *Książka ta stanowi początek realizacji mojego autorskiego pomysłu Przydrożnych Lekcji Historii (PLH). Jest to wynik refleksji nad tym, jak można i należy czynnie wprowadzać spostrzeżenia z zakresu studiów nad pamięcią i nad archeologią uspołecznioną do sfery publicznej*. Lekcje te, to według autorki *proaktywne działania w zakresie archeologii współczesnej przeszłości*. Ponadto *PLH [...] to zachęta do tego by otaczającemu nas krajobrazowi pozwolić opowiedzieć nam naszą Historię*. Jeśli pojęcie *naszą* oznacza autorów broszury, to pora w tym miejscu odwołać się do zawartości tej recenzji. Łącząc ją z ww. cytami nie można wyzbyć się wrażenia, że autorzy dostali się pod wpływ czegoś dla nich niezrozumiałego i nie bardzo wiedzą, jak o tym problemie podzielić się z innymi. W efekcie tego, co widać z przedstawionej treści broszury, bez dostatecznej wiedzy, umiejętności i wsparcia właściwym aparatem naukowym, nie byli w stanie poprawnie opowiedzieć w swych lekcjach o skutkach aktywności wojska w znanym przecież i materialnie udokumentowanym wydarzeniu okresu nowożytnego, tzn. w I wojnie światowej.

Nie można autorce odmówić wyjątkowo trafnego wyboru skrótowej nazwy *PLH* dla opracowa-

nego przez nią produktu. Problem polega na tym, że jest on już zarezerwowany na potrzeby inwazyjnie promowanej w kraju tzw. ochrony przyrody. „Poland Habitat” to umowne międzynarodowe oznaczenie tzw. specjalnych obszarów ochrony siedlisk flory i fauny – w tym przypadku znajdujących się na obszarze Polski. Proces wyznaczania takich stref oraz procedury ich utrzymywania całkowicie ignorują obecność wytworów kultury materialnej i są zagrożeniem dla dalszego bytu wielu zabytków po aktywności wojska na przestrzeni dziejów. Pod tym względem lekcje zaprezentowane w broszurze mają analogiczne oddziaływanie, ponieważ ignorują dotychczasowy stan wiedzy o wydarzeniach bitwy nad Rawką i związanych z nimi dobrami kultury materialnej.

W konkretnym, zarysowanym w niniejszej publikacji przypadku naznaczonego wojną krajobrazu nad Rawką, zasadne wydaje się oddanie głosu zagłębieniom w ziemi, zagubionym mogiłom, cmentarzom, ukrytym przed czasem i ludźmi, odłamkom, nieśmiertelnikom, zardzewiałym tyżkom i menażkom z 1914-1915 roku. Na swój sposób słuszny to apel (s. 75), ale należy zwrócić uwagę, iż nic z tego, co nas otacza, nie może ukryć się przed upływem czasu, a martwe przedmioty głosu nie wydają. W taki literacki sposób myłony jest czytelnik co do pochodzenia treści wykładów, który rzekomo jest obiektywną rejestracją głosu przemawiającej materii, a nie subiektywnych wypowiedzi autorów. Przypomnijmy więc, że w broszurze nie pokazano w ogóle przedmiotów po walkach nad Rawką lat 1914-1915, a tylko pośrednio z nimi związane, których autorzy w znacznej części nie potrafili nawet nazwać i dokładniej zidentyfikować. Autorka przyznaje, że ten głos materii to dla niej cichy szept – *Stąd starania, by przekazać ten wzmocnić treściami opartymi na wynikach badań archiwalnych [...] i terenowych*. Zamiary godne pochwały, lecz przypomnijmy, iż autorzy nie byli w stanie nawet przedstawić skrótu dotychczasowego stanu badań, a właściwie go zignorowali.

W dalszej części rozdziału autorka pogłębia iluzję domniemanego stanu permanentnej niewiedzy o tym, co działo się sto lat temu. Po-

pularnym narzędziem ułatwiającym taki trick, a masowo stosowanym przez iluzjonistów wkraczających na obszar badań wojskowo-historycznych, jest tzw. tajemniczość, którym autorka nie omieszkała się posłużyć: *Warunki życia oraz codzienności w okopach na froncie wschodnim, wciąż są dla nas w dużej mierze tajemnicą*. Jest to szczerza prawda, ale tylko pod warunkiem, że określenie *dla nas* dotyczy autorów broszury. To samo zastrzeżenie trzeba odnieść do bezpodstawnego twierdzenia, które może pochodzić tylko ze źródła pozbawionego informacji o stanie i zakresie polskich oraz innych badań wojskowo-historycznych: *O ile po prowadzonych w tym samym czasie działaniach wojennych na froncie zachodnim pozostało wiele źródeł historycznych [...], o tyle po działaniach zbrojnych na wschodzie pozostało bardzo niewiele zapisów*.

Na tej stronie odnajdujemy informację, mającą zapewne dodać otuchy uczestnikom PLH. Otóż Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego ma umożliwić realizację projektu „Archeologiczne przywracanie pamięci o Wielkiej Wojnie. Materialne pozostałości życia i śmierci w okopach na froncie wschodnim oraz stan przemian krajobrazu pobitewnego w rejonie Rawki i Bzury 1914-2014”, który dzięki zastosowaniu *badan podstawowych w celu zdobywania nowej wiedzy o podstawach zjawisk i obserwowalnych faktów* ponoć złamie wreszcie odsłoniętą przez autorów barierę niewiedzy i rozwiąże towarzyszące jej tajemnice. To bardzo cenna inicjatywa, ale miejmy nadzieję, że w tym przypadku nie będzie chodziło o *nową wiedzę* na podobieństwo tej, stworzonej przez autorów na potrzeby omawianej broszury.

Autorka podnosi dalej wyjątkową rolę jaką mają odegrać jej PLH w popularyzowaniu wśród społeczeństwa materialnych śladów wydarzeń nad Rawką, ochronie ich przed niepamięcią i wandalizmem, w zachęcaniu do uważnego wysłuchiwanie lekcji, jakie oferują te ślady, tzn. krajobraz, rzeczy, miejsca, obrazy i archiwalia. Jest to cały czas z uporem czyniona czytelnikowi sugestia, że do niego wcale nie przemawiają autorzy broszury – wykładowcy, ale to co w niej przeczytał to głosy wydobywające się z materii, a oni byli tylko tłumaczami zdolnymi przełożyć

je na ludzki język. Przypomnę więc, że o jakości tego tłumaczenia jest ta recenzja, wymagająca aż kilkudziesięciu stron maszynopisu. Autorka wydaje się nie rozumieć, że jej dzieło (*PLH*) w istocie niweczy całą zebraną do tej pory wiedzę nie tylko w Polsce i nie tylko o I wojnie światowej. Daje temu wyraz w próbie podsumowania treści broszury (s. 76): *Pierwsza Przydrożna Lekcja, na temat pierwszej wojny światowej, nie jest w mojej opinii prosta. Tę wojnę wciąż trudno zrozumieć: dlatego, że była zupełnie inna od wszystkich przez tysiące lat ją poprzedzających: Była, na owe czasy, bardzo zaawansowana technologicznie. Angażowała żołnierzy, cywilów, zwierzęta, świat roślin, ogólnie kulturę i naturę – na masową skalę.*

Niniejszym autorka wykazała, że należy do grona wykładawców, którzy nie wiedzą o czym usiłują nauczać czytelników. Własne luki w wiedzy przenosi na karb jakiejś domniemanej niemożliwości zrozumienia czegoś przez szeroki ogół społeczeństwa. Nie dość, że nie wie, czym różni się technologia od techniki, to nie dysponuje podstawową wiedzą o historii ziemskich konfliktów zbrojnych. Nie trzeba być naukowcem żeby wiedzieć o tym, iż wszystko jedno, czy 100, czy 20 000 lat temu, wszystkie wojny były takie same. Wiele konfliktów uzyskiwało znaczny zasięg destrukcji i angażowało na masową skalę ludzi, kulturę materialną i naturę. Trzeba tylko tę skalę odnosić do liczebności tamtejszych populacji, wielkości ich zasobów, możliwej mobilności i zdolności ludzi do wpływania na naturalne środowisko, a nie do współczesnych nam czasów, o czym prawdopodobnie autorka nie wie. Od tysięcy lat wojny wyludniały całe krainy, w ruinę popadał wtedy majątek niejednej grupy kulturowej, tysiące hektarów lasów zamieniano w zręby i pogorzeliska, mnóstwo ludzi wcielano w szeregi obcych wojsk, a tysiące spośród pozostałych przy życiu stawało się niewolnikami.

W ostatnich zdaniach rozdziału (s. 78) autorka podjęła próbę określenia celu jaki przypisała lekcji przydrożnej o wydarzeniach I wojny światowej nad Rawką. Tekst ten może być niezrozumiały dla czytelnika, ale jego zacytowanie jest ważne, bo ujawnia on enigmatyczny warsztat, jaki posłużył do napisania broszury. Jak sta-

ralem się pokazać w niniejszej recenzji, w istocie polegał on na deformacji jednych faktów i ignorowaniu drugich, czyli działaniach zmierzających do odkrywania czegoś, co podobno było do tej pory nieodkryte, a w rzeczywistości znane jest od dawna. Starając się streścić zdania poniżej – autorka przyznaje, że zajęła się czymś na czym się nie zna i liczy na to, że potrzebną wiedzę uzyska od słuchaczy jej wykładu, którymi są materialne wytwory kultury i natura. *Propozycja Przydrożnych Lekcji Historii to propozycja przystania na „dyspozycyjność” rzeczy i miejsc, to prowokacja do tego, byśmy się otworzyli na ich sprawstwo, byśmy mogli się czegoś od nich nauczyć, o nich, o sobie, o nas. By wejść z tymi śladami w dialog, musiałam przebyć pewną drogę, wsłuchać się również w wiele tekstów pisanych (różnego typu źródeł historycznych), obejrzeć wiele obrazów, wysłuchać wiele przekazów ustnych. Początkowo moja szansa na dostrzeżenie wyjątkowości materialnej rzeczywistości nad Rawką byłaby bliska zeru. Skupiłam się intuicyjnie na sile tego przekazu, nie chwytając kryjących się za nim znaczeń. Teraz, stopniowo opatruję się, odczytuję, osłuchuję – by zobaczyć i zrozumieć nieco więcej. I choć wciąż jestem na początku tej drogi, cho wciąż moje rozumienie tego dziwnego „pogazowego krajobrazu” staje się – to mogę już z czystym sumieniem uznać to doświadczenie za wartościowe i dlatego warte podzielenia się nim.*

Na s. 77 pojawił się ważny wątek, pomocny wyjaśnić głęboką wadliwość recenzowanej pracy. Jest to twierdzenie o sile sprawczej odnalezionego przez autorkę panaceum na głoszoną niemożliwość poznania niby nieznanego obrazu zapomnianych wydarzeń nad Rawką 1914-1915 i związanej z nimi kultury materialnej: *Jedną z dróg do tego jest archeologia.* Dalej znajdujemy wywód o podporządkowaniu archeologii chyba wszystkich nauk, w efekcie czego to ona *buduje świadomość miejsca, przewartościowuje współczesne oceny, czy: włącza nowe elementy w zakres tego co warte jest upamiętnienia* itp. Żeby krótko skwitować ten wywód, będą może niegrzeczny, co mam nadzieję czytelnicy mi wybaczą. Autorka prawdopodobnie nie wie,

że archeologia nie jest w stanie nic wniesić do ni-
niejszej recenzji, natomiast ta recenzja – oparta
na podstawach warsztatu badań wojskowo-hi-
storycznych – może być wykładem koniecznym
niestety do zastąpienia tego, co zawierają lekcje
opracowane przez nią i pozostałych autorów
omawianej broszury.

Na tym gruncie cynizmem jawi się apel au-
torki (s. 74), w którym łączy lekcje przydroż-
ne z archeologią: *PLH może być w mojej opinii
również remedium na wandalizm i marazm
społeczny: nie niszczy materialnych śladów
przeszłości, nie wydobywajmy ich bezmyślnie
z ziemi.* Mało kto zdaje sobie sprawę, że ni-
mal codziennie w naszym kraju w efekcie ak-
cji tzw. oczyszczania terenów z przedmiotów
niebezpiecznych, na skupy złomu wywożone
są tony metalu. W rzeczywistości jest to pla-
nowa likwidacja nie tylko kultury materialnej
po wojsku i wojnach, bo wraz ze szczątkami
amunicji, uzbrojenia i sprzętu na złomowiska
trafiają przy okazji wynicowane z ziemi i wody
przedmioty użytku cywilnego mające dziesiąt-
ki, a nawet setki lat. Wszystko to odbywa się
pod nadzorem konserwatorów wojewódzkich
i właśnie archeologów.

Istotne dla podsumowania zawartości broszu-
ry są informacje przekazane przez autorkę za po-
słowiem, na końcu broszury (s. 79), wydzielonym
zapisem wyeksponowanym na barwnej tincie. Po
części ujawnia on wykształcenie i przygotowanie
zawodowe autorów: o jednej osobie niczego nie
ujawniono, druga jest polemologiem i dzienni-
karem, a trzecia archeologiem. Wynika z tego,
że autorzy nie mają żadnego przygotowania do
prowadzenia badań wojskowo-historycznych,
a mimo to będąc amatorami doczekali się – jak
głosi notka – *publikacji stanowiącej pokłosie zre-
alizowanego pod patronatem Instytutu Archeologii
i Etnologii Polskiej Akademii Nauk projektu edu-
kacyjnego.* Ponadto, jak ujawniła autorka notki,
*Do powstania tej książeczki [...] mogło dojść dzięki
dotacji przyznanej mi przez Fundację Współpracy
Polsko-Niemieckiej.* To wyjaśnia genezę sukcesu
opublikowania broszury, bo jej treści ani ci na-
ukowcy, ani ten fundator nie byli w stanie zwery-
fikować, jak też nawet zredagować.

Streszczenia

Autorzy nie zadbali o obcokrajowców, bo na
s. 80 i 81 znajdują się wręcz zdawkowe teksty,
nie będące w żaden sposób streszczeniami w ję-
zykach angielskim i niemieckim. Pomimo tak
małej objętości nie obyło się tam bez powielania
błędów.

Bibliografia

Jest to jedna strona (s. 82), poświęcona na
spis bardzo nielicznego zbioru opracowań i ar-
tykułów, z których zaczerpnęli swoją wiedzę
autorzy *przydrożnych lekcji historii.* Co cieka-
we, nie ma tam prac wymienionych wcześniej
w tekście, np. wykorzystanych do czerpania cy-
tatów. Usprawiedliwieniem takiej formy biblio-
grafii ma być podtytuł nad spisem oznajmiający,
że to tylko *Literatura pomocna w pogłębieniu
wiedzy na temat Wielkiej Wojny i Bitwy nad
Rawką.* Ten skromny zasób źródeł informacji
być może wystarczyłoby gimnazjaliście do napi-
sania referatu, ale żeby kogoś nauczać potrzeba
znacznie więcej!

Spis treści

Spis treści (s. 83) jest na końcu broszury,
przed danymi wydawniczymi (s. 84). Z ubolewa-
niem stwierdzam, że autorzy nie zdołali zapano-
wać nawet nad nim, ani nie udało się to redagują-
cym broszurę. Dla przypomnienia, podrozdziału
Front wschodni ze s. 4 brak w spisie. Z kolei we-
dług spisu, na s. 38 powinien znajdować się pod-
rozdział *Uzbrojenie i wyposażenie armii walczą-
cych nad Rawką,* a niestety brak takiego tytułu
w bloku tekstowym na tamtej stronie.

Pora na wnioski. Na ich wstępie chciałbym
przeprzeć czytelników, że wprowadziłem do
recenzji niewiele przypisów i nie zamieszczam
pełnej bibliografii opracowań, choćby tylko tych
bezpośrednio związanych z omawianym tema-
tem. Nie uczynili tego autorzy broszury, ale też

nie jest moim obowiązkiem napisanie jej za nich. Zapewniam, iż przy pisaniu niniejszej recenzji oparłem się tylko na powszechnie dostępnych opracowaniach oraz mojej wiedzy badacza i kolekcjonera militariów.

Pierwszym co daje się zauważyć, jest brak związku pomiędzy tytułem broszury, a jej zawartością. Autorzy mieli przypomnieć wydarzenia z I wojny światowej jakie rozegrały się nad Rawką. O rzekę (97 km długości), oparł się w końcu 1914 r. długotrwały front pozycyjny, a na wielu jego odcinkach działo się wiele. Tymczasem autorzy wyłącznie prezentują wydarzenia w rejonie Bolimowa – owszem ważne – lecz dotyczące tylko kilkunastokilometrowego odcinka rzeki. Ponadto miały być omówione materialne pozostałości po wojnie nad Rawką, lecz generalnie brak ich prezentacji. Tak samo jest gdy popatrzymy na tytuły rozdziałów i podrozdziałów. Miało być omówione uzbrojenie i wyposażenie armii walczących nad Rawką, a wspomniano o takowych tylko w odniesieniu do piechoty. Spośród bogactwa zabytków kultury materialnej po wydarzeniach Wielkiej Wojny na Wschodzie, autorzy nie wiadomo dlaczego faworyzują cmentarze wojenne, które jak się okazało, są zabytkami wtórnymi. A nawet do tych wtórnych nie można zaliczyć pokazanych licznie rekwizytów teatralnych, wyprodukowanych dla potrzeb tzw. rekonstrukcji historycznej.

Jak wynika z analizy tekstów zawartych w tej pracy, autorzy nie znają faktów dotyczących genezy I wojny światowej i jej przebiegu na froncie wschodnim. Nie rozumieją zasad prowadzenia walki zbrojnej, planowania operacyjnego i nawet nie wiedzą, czym różni się taktyka od strategii oraz technika od technologii. Nie posiłkowali się żadnymi regulaminami i instrukcjami wojskowymi, normującymi działania obu stron konfliktu. Nie udało im się prawidłowo przetłumaczyć obcojęzycznych tekstów, relacjonujących przebieg walk pod Bolimowem. Nie potrafili zrozumieć natury broni chemicznej, konstrukcji amunicji artyleryjskiej, jak i zasad użycia samej artylerii. Nie znają nomenklatury i klasyfikacji materiału uzbrojenia, umundurowania, wyekwipowania i wyposażenia technicznego. Nie byli w stanie prawidłowo identyfikować ani orygi-

nalnych, ani skopiowanych zabytków kultury materialnej, wytworzonych dla potrzeb armii niemieckiej i rosyjskiej do roku 1915. Nie umiemy identyfikować konstrukcji oraz przeznaczenia dzieł budownictwa wojskowego. Czy to są podstawy, uprawniające autorów do udzielania lekcji historii o wojnie i wojskowości?

Tekst broszury jest w przeważającej części kompilacją zdań powyrywanych z szerszego kontekstu, który nie jest przecież znany czytelnikowi nie mającemu kontaktu z zagadnieniami wojskowo-historycznymi. Pomijając powielanie lub tworzenie nieprawdziwych faktów, nieczytelny styl wielu zdań, brak logiki w pojedynczych i w ciągach zdań, używanie żargonu z mieszanek słów polskich i obcych, zaprzeczanie własnym twierdzeniom itd., są pochodną braku wiedzy autorów o tym, co miało być tematem ich pracy. W ten sposób autorzy zaprezentowali swój stan odmiennej świadomości i niniejszą serią wykładów usiłują wmówić czytelnikowi, że to jest stan poprawnej świadomości zbiorowej, której każdy obywatel nieobojętny na *nieszczęścia, tragedie, głód, życie i śmierć w okopach, losy Polaków* itp., musi się podporządkować. Iluzję swej wiarygodności autorzy pogłębili sugestiami o odejściu historii i wytworów kultury materialnej sprzed zaledwie 100 lat w mrok pradziejów ludzkości. Nie jest to prawdą, gdyż jest mnóstwo źródeł wojskowo-historycznych o wydarzeniach z lat 1914-1915 nad Rawką. To nie są czasy dożynek wczesnosłowiańskich. Zabytki po tych walkach oraz po armiach niemieckiej i rosyjskiej z tego okresu są w polskich kolekcjach militariów. Wspomnę tylko najbliższe Bolimowa zbiory Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą. Autorzy w ogóle nie sięgnęli ani tam, ani do profesjonalnych kolekcji militariów z I wojny światowej. Co gorsza, oryginały – zwłaszcza mundurów i ekwipunku – zastąpili produktami tzw. rekonstrukcji historycznej. Biorąc to wszystko pod uwagę należy postawić ważne pytanie: czy broszurę można zaliczyć do materiałów edukacyjnych, czy raczej należy ją włączyć do literatury „specjalnej troski”?

Pomysł przypomnienia wydarzeń I wojny światowej w 100 rocznicę jej wybuchu był dobry,

ale dorosłych nie wychowa się takimi praktykami. Te *przydrożne lekcje historii* powinny być skierowane do dzieci i młodzieży, lecz używając realnej wiedzy, zapisanej zrozumiałym językiem, opartej o rzetelną, fachową znajomość militariów. W oświacie panuje obecnie recesja intelektualna, pogłębianą coraz szerzej stosowaną techniką komputerową – niemal każdy obcujący z Internetem ma przeświadczenie, że może pisać bez merytorycznego nadzoru na dowolny temat, w związku z czym z miejsca odkrywa w sobie predyspozycje do nauczania innych.

Dopiero w zakończeniu recenzowanej pracy autorzy zawarli fundamentalny wniosek ze swych ustaleń, oznajmiając czytelnikowi, że odkryty przez nich stan (ponoć) niewiedzy i zapomnienia o I wojnie światowej oraz zaniku kultury materialnej po wydarzeniach nad Rawką w szczególności, może być odwrócony dzięki... archeologii. Z nią bowiem autorzy utożsamili swoje wątpliwe osiągnięcia, polegające faktycznie na zdeformowaniu dotychczasowego stanu wiedzy. Skoro nie byli oni w stanie nawet poprawnie przetłumaczyć niemieckich wojskowych tekstów z publikacji i inskrypcji, to rodzi się oczywiste pytanie: dlaczego tak niefortunne działania wsparła Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej? W Niemczech jasno określono zadania archeologii – wystarczy zapoznać się z definicją archeologii na stronach internetowych uniwersytetu w Münster, albo poczytać w fachowych czasopismach, do czego są wykorzystywani archeolodzy w badaniach nowożytnych pól bitewnych. Nawet w przypadku tych bardziej odległych, np. w badaniach pól bitewnych wojny trzydziestoletniej, ich rola jest tylko pomocnicza, a co najważniejsze – wszystkim kierują specjaliści od badań wojskowo-historycznych, w tym przypadku Militärgeschichte Forschungsamt w Poczdamie. Tymczasem polski odpowiednik tej placówki – Wojskowe Biuro Badań Historycznych (wcześniej Wojskowy Instytut Historyczny) zostało zlikwidowane jako jednostka naukowo-badawcza. Może więc ww. fundacja chciała pokazać do czego prowadzi upadek polskiej nauki?

Nie sposób oderwać się od wątku archeologicznego, który w wyjaśnieniu istoty edukacyjnej

misji recenzowanej broszury wprowadziła w posłowie Anna Zalewska. Z jej słów (s. 79) wynika, że na podobieństwo słynnej *pornografii śmierci*, lansowane są obecnie paranaukowe, a właściwie pseudonaukowe mutacje badań archeologicznych, wśród których wymieniła *archeologię konfliktu*, *archeologię zbrodni*, *archeologię terroru*, *archeologię humanistyczną* i *archeologię uspołecznioną*. Gdyby ulec tym sugestiom, to należałoby stwierdzić, że niniejsza recenzja powstała w oparciu o „archeologię belkotu”, ale wówczas byłoby to krzywdzące, o ile nawet nie obraźliwe, dla warsztatu badań wojskowo-historycznych. Autorzy broszury i jej czytelnicy muszą wiedzieć, że archeologia nie należy do badań pomocniczych i posiłkujących badania wojskowo-historyczne.

Dystrybucja tej broszury niestety nie zakończy się wraz z wyczerpaniem jej nakładu. Okazuje się, że jej treść została powielona i przystosowana do innych form o znacznie szerszym zasięgu odbioru. Teksty rozdziałów lub podrozdziałów wraz z przyporządkowanymi do nich ilustracjami znalazły się na tablicach informacyjnych punktów przystankowych dwóch tzw. ścieżek historycznych tematycznego szlaku turystycznego, wytyczonego wokół Bolimowa, w związku z powstaniem ogólnopolskiego „Szlaku frontu wschodniego I wojny światowej”. Rodzi się więc pytanie: dlaczego miejscowe władze dopuściły do wystawienia tablic z *przydrożnymi lekcjami historii* na widok publiczny bez jakiegokolwiek weryfikacji ich zawartości przez specjalistów? Z pewnością łódzcy organizatorzy szlaku ogólnopolskiego nie mieliby problemów z ustaleniem, że zamiast nauczać, tablice te najzwyczajniej dezinformują.

Na zakończenie jeszcze jeden wniosek, składający do głębokiej refleksji nad stanem polskiej nauki. Podjęta przez autorów próba przybliżenia nam części dziejów I wojny światowej w oparciu o aparat badawczy skojarzony z archeologią, okazała się nieudana. Przecież od tamtych wydarzeń minęło dopiero 100 lat! O czasie tak nieodległym wiemy bardzo wiele, uczestników wydarzeń znamy z nazwisk, w najdrobniejszych szczegółach poznaliśmy sprzęt, taktykę, technikę itd. Projekt pod egidą IAE PAN w tym zakresie niczego no-

wego nie odsłania, a jedynie deformuje dotychczasowy stan wiedzy. Rodzi się zatem pytanie: ile warte są dotychczasowe badania i ustalenia IAE PAN dotyczące minionych epok? Niezpodstawne wydaje się przypuszczenie, że także i one mogą być w jakiejś części równie bezwartościowe, kreując zdeformowany i fikcyjny obraz przeszłości. Coraz częściej dostrzegany w ostatnich latach „rozwój” archeologii, któremu towarzyszy ostentacyjne ignorowanie, a nawet lekceważenie innych nauk, skłania ku przyjrzeniu się mu z bliska i postawieniu pytania: czym tak naprawdę stała się obecnie w Polsce archeologia?